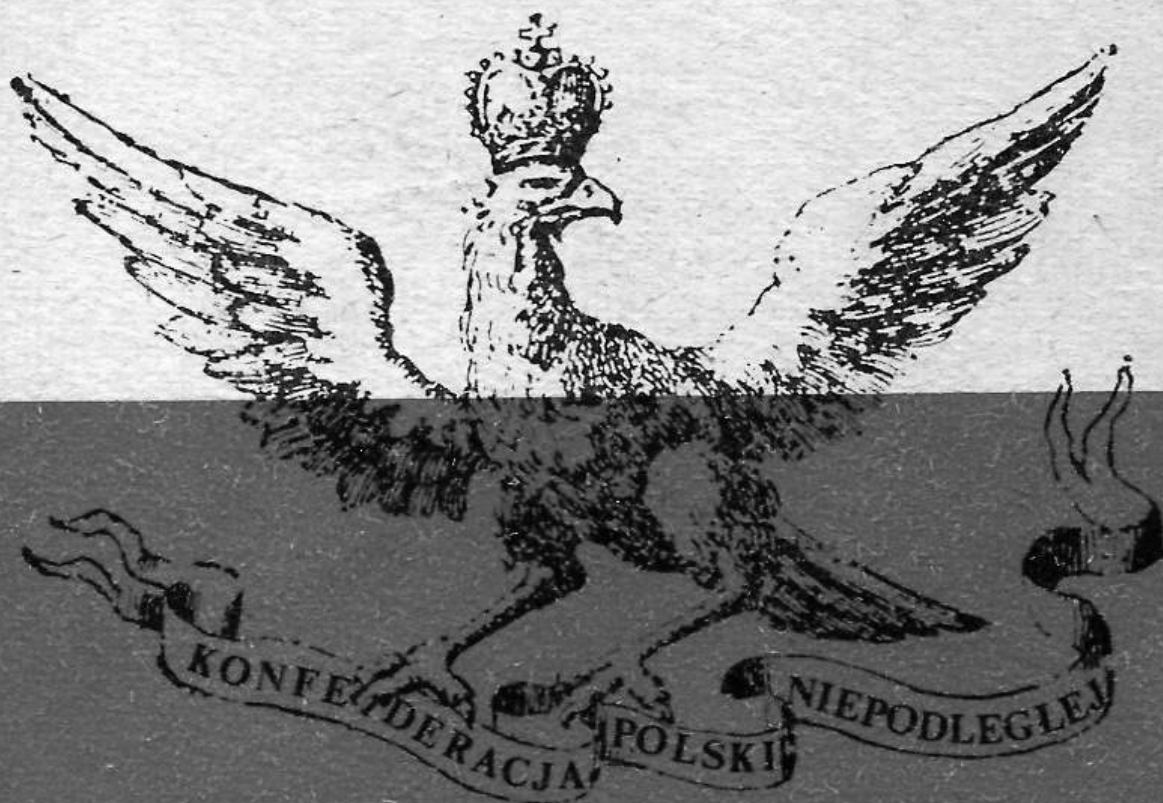


DROGA

WOLNOŚĆ I NIEPODLEGŁOŚĆ

CZERWIEC—WRZESIEŃ 1989 r.

NR 29



Zaufaj naszym kandydatom!

**pismo
Konfederacji Polski Niepodległej**

WILNO-1944

(fragment)

W następstwie porozumienia zawartego w dniu 16 lipca 1944r pomiędzy Komendantem Okręgu Wileńskiego "gen.Wilk" - Aleksandrem Krzyżanowskim, a przedstawicielami sztabu III Białoruskiego Frontu, gen.Wilk został zaproszony następnego dnia t.j. 17 lipca na spotkanie z dowódcą rzeczzonego Frontu, gen. Czerniachowskim, aby porozumienie podpisać. Kiedy " gen. Wilk" wszedł do gabinetu gen.Czerniachowskiego w Wilnie przy ul.Kościuszki 16 został sterroryzowany i aresztowany. Jednocześnie zostali podstępnie uwięzieni dowódcy pododdziałów Armii Krajowej Okręgu Wileńskiego i Nowogródzkiego. Miało to miejsce we wsi Bogusze, dokąd oficerowie nasi zostali zaproszeni na przyjacielskie spotkanie z dowódcami sowieckimi. Jeden z rozdziałów książki Jerzego Urbankiewicza "Szabla sardzewiała..." zawiera opis wydarzeń w miejscu postoju Sztabu Okręgu, kiedy autor, jako dowódca Oddziału Rozpoznawczego Komendanta Okręgu otrzymał stosowne rozkazy.

Tak więc goniec rzeczywiście przyjechał i dyskretnie wręczył mi, pisany ręcznie, przez kalke, rozkaz majora Strycharskiego (Zygmunt Blumski), nakazujący wymarsz z Wołkorabiszek w kierunku Puszczy Rudnickiej wobec faktu, że Komendant "Wilk" został podstępnie aresztowany w czasie wizyty u generała Czerniachowskiego, że dowódcy pododdziałów również zostali wciągnięci w pułapkę i aresztowani. Zapewne rozkaz zawierał też informację o rozpoczętym otaczaniu brygad Armii Krajowej przez oddziały sowieckie. Przewidywałem, że w straży przedniej sił opuszczających Wołkorabiszki pójdzie część Szóstej Brygady pod dowództwem "Tońka" (Adam Boryczka), w straży tylnej miałem pójść ja, na czele Oddziału Rozpoznawczego. I w tej kolejności ruszyła na południe kolumna pieszych, konnych i furmanek, a w mojej i zapewne nie tylko mojej wyobraźni stanął jak żywy obraz września 1939 roku. Znow kłeska, znow zdrada, znow poczucie niesprawiedliwości i bezsilności. A nawet gorzej. Tamto już się stało koszmarem ze złego snu, który był wspomnieniem. A tu skrzeczała rzeczywistość, poprzedzona kilku latami igraszek z życiem i wolnością, poprzedzona walką, której krzyże znaczyły się jeszcze czystą bielą. Miałem pełną świadomość, że to co się dzieje, jest historia, jeszcze jednym fragmentem historii Polski, wziętym z rozdziału o stosunkach polsko-rosyjskich. Zdawaliśmy sobie sprawę, że bokami i za nami postępują enkawudziści, czyhając na nasze załamanie się w sytuacji bez wyjścia: przecież my, najwierniejsi sojusznicy koalicji antyhitlerowskiej, nie zaatakujemy armii sowieckiej, która naciera na Niemców. Nie wiem, czy jakikolwiek inny naród stał kiedykolwiek wobec konieczności dokonania wyboru jednej z alternatyw, z których żadna nie była do przyjęcia: albo rezygnacja z wolności, o którą walczyliśmy cztery lata, albo walka z wrogiem naszego wroga. Precyzyjniej: z przeciwnikiem, który **obecnie** był wrogiem naszego wroga. O wiele od nas silniejszym. Rosjanie, po odkryciu kart wobec "Wilka" i dowódców

oddziałów, zdjęli maskę. Kukuruźniki miały nas na oku i rzucały ulotki, namawiające do poddania się. Dobrze, że nie bomby. Szlachetni Rosjanie! - mogli strzelać, a nie strzelali. Mój szwadron posuwał się, zgodnie z rozkazem, za tym, co się składało na resztę Komendy Okręgu. Moje niecałe dwa plutony - na koniach, reszta pieszo lub na furmankach i tych parę chłopskich wozów, wiozących trochę amunicji, coś do jedzenia, może jakieś załosne resztki rzeczy osobistych. Na czele tych konnych stanowiąc szpicę tylną i patrolami sprawdzałem, co za mną. Ale wróg, lepiej zaopatrzony w mapy niż my, nie atakował, zdawał sobie bowiem sprawę, jak daleko może nas zawieść trasa, na jaką weszliśmy. Więc w miarę spokojnie przemierzaliśmy trakt, wiodący nas ku Puszczy Rudnickiej. Każdy niósł w sobie poczucie krzywdy i rozpaczliwe spekulacje na temat - co by było, gdyby było inaczej.

Ja przeklinałem los, który nie pozwolił mi wyrwać się na Zachód, rozpamiętywałem klątwę, jaka ciążyła w tym zakątku Polski wciąż omywanym polską krwią, wciąż stanowiącym przedmiot rosyjskiej zachłanności. Za cara motywem była rzekomo zamierzona rosyjskość tych ziem, teraz - wolność narodu litewskiego ale w granicach Związku Radzieckiego i prawem kaduka ustanowiona radzieckość Białorusinów. W Okręgu Nowogródzkim Armii Krajowej stanowili połowę stanu liczebnego, to znaczy - dwa do trzech tysięcy żołnierzy, którzy mogli pójść do partyzantki radzieckiej, albo do Niemców, a optowali za Polską, a zjawisko to oznacza, że tak myślało dwa do trzech tysięcy rodzin białoruskich, które mogły wywołać w swoich synach postawę prosowiecką, albo proniemiecką, a wychowały nacje Polaków, gente Białorusinów. A znaczy to też kilkakrotnie po dwa tysiące sąsiadów, którzy aprobowali taką postawę i jej sprzyjali. A przecież myśmy wtedy nie wiedzieli, że razem ze śledzącymi nas kukuruźnikami unosił się nad nami duch porozumień niemiecko-rosyjskich z 1939 roku - pakt Ribbentrop-Mołotow. To była przesłanka ofensywy przeciwko nam, przesłanka odebrania nam prawa do ziemi, o której wolność walczyliśmy przez wszystkie lata wojny.

Różne tam myśli kłębiły się w głowach chłopaków, zarówno tych, którzy w wyobraźni zestawiali niedawne zwycięskie bitwy i potyczki z Niemcami z obecnym - **wycofywaniem** się do puszczy, bądźmy szczerzy: z obecną **ucieczką** przed fizyczną przewagą, niesprawiedliwością i gwałtem, jak i tych, których troskliwe matki lub młody wiek dopiero teraz puściły do polskich oddziałów. Różne myśli, ale jedno wspólne odczucie - odradzającej się nienawiści do Rosjan, mającej swoją pożywkę. Bardzo się Rosjanie o świeżość tej pożywki starali. Od stuleci. Przecież to Jan Chryzostom Pasek opisywał pod "Rokiem Pańskim 1660" zwycięstwo nad Moskwą pod Płonką. "Wesoła to wiktoryja bardzo wszystkim z tej racyjej, że to po owych nieszczęśliwościach pierwsze ojczyźnie przyniosła szczęście, gdyż już Moskwa tak byli wzięli górę, że gdziekolwiek się o wojsku naszym dowiedzieli, już tak na nich szli jako na pewne zwycięstwo, gotowe już mając dybki i kajdany na więźniów, co się znajdowało i w obozie pod Lachowicami: aleć się na nich samych przygodziły, bo ich w nie kazano kować." (J.Ch.Pasek "Pamiętniki" PIW 1963 s.155).

Oczywiście wtedy, ostaniając kolumnę tych z tyłu, wywlekałem z pamięci tylko owe "dybki i kajdany", a dziś - nietrudno o pełny tekst. Ale tego, że Płonka leżała jeszcze w 1939 r. w granicach Polski, nieopodal Słonimia, byłem wtedy świadom. Nietrudno też dziś o inny tekst,

którego strzepy chodziły mi wtedy po głowie: "Dnia 25 lipca (1812 roku - przyp.J.U.) jazda rosyjska wybiegła ku Bieszeńkowiczom... Wywiązał się zacięty bój konnicy. Tutaj pułk 6 ułanów polskich nową okrył się chwałą. Ruchem flankowym wpadł on nagle na ingryjski pułk dragonów rosyjskich. W chwili gdy Polacy zrywali się do szarży, pułk ten wykonał pół obrotu i cofał się w porządku drobnym kłusem wykonując ten ruch obojętnie i machinalnie; (...) Chwilę zawahano się w naszych szeregach, czy uderzyć, brano ich bowiem za Wirtemberczyków z powodu podobieństwa munduru: poznano jednak wreszcie, że to wrogowie i rzucono się do pościgu. Polacy lancami dotykali nieomal grzbietów dragonów, którzy nie przyspieszali odwrotu, zdało się nawet, że nie chcieli się bronić. Niepójeta ta obojętność tak dalece zdziwiła naszych ułanów, że nie mogli się przemóc, aby zacząć kłuć, gdy nagle szef szwadronu Łojeski, stary i dzielny żołnierz, który walczył za Kościuszki, wyrwał lancę jednemu ze swoich żołnierzy i rząc najbliższego dragona, huknął: Żołnierze, pamiętajcie Pragę?! Mścijmy się! Zaczęła się rzeź straszliwa." (M.Kukiel, Dzieje Wojska Polskiego t.II s.68). Nie wiem, czy tak oczywisty symbol rosyjskiej nienawiści do Polaków i rosyjskiej zabobczosci jak rzeź Pragi, byłby czytelny dla moich żołnierzy, chłopskich dzieci lub uciekinierów z tajnych tzw. "kompletów", gdybym im wtedy ten fragment dziejów Polski przypominał. Ale - nie było potrzeby, mieli świeższy: Katyń. Ci którzy w swoich "kompletach" "przerobili", że użyje tego szkolnego wyrażenia, "Dziadów część trzecia", pamiętali opowiadanie Sobolewskiego o wydarzeniach na placu przed Ratuszem w Wilnie.

"Wkrótce znak dano bębniem i ratusz otwarty -
Widziałem ich - za każdym z bagnietem szły warty,
Małe chłopcy znędzniacie, wszyscy jak rekruci
Z golonymi głowami; - na nogach okuci.
Biedne chłopcy! - najmłodszy - dziesięć lat nieboże,
Skarżył się, że łańcucha podźwignąć nie może;" ...

Było co w tej rejteradzie wspominać! Masowe wywózki roku 39, 40, 41. Dwie strony dworca kolejowego w Wilnie łączył wtedy przerzucony nad torami most dla pieszych. W tydzień po czerwcowych wywózkach 1941 roku kobiety wileńskie rzucały z tego mostu chleb - w odkryte wagony wiozące dołem wygłodzonych do półśmierci jeńców sowieckich. Odruch nieupolitycznionego serca, - tylko że te kobiety nie wiedziały, że każdy z tych jeńców, jeśli przeżyje, miał w sowieckiej ojczyźnie zapewnione dwadzieścia lat katorgi za dostanie się do niewoli. Nie ma w Polakach okrucieństwa ani pamiętliwości. Ale - nie powinno się ich doprowadzać wciąż do rozpacz. A myśmy się znaleźli na skraju rozpacz. To było gorsze niż poczucie klęski wrześniowej. Jedynie - rola odegrana przez Rosjan nie różniła się niczym wtedy i teraz. A miała sobie zyskać po latach miano "białej plamy".

Tak więc - jechaliśmy, nie mogąc sobie wyobrazić, dokąd i po co, a z tego rozpaczliwego bezsensu naszej drogi zdawali sobie zapewne sprawę Rosjanie, skoro nie atakowali, a tylko śledzili i byli w pogotowiu. Spróbowali przecież ukasić, a za cel wzięli sobie właśnie moją straż tylną.

Właśnie rząd słupów telegraficznych, który przecinał naszą drogę, zapowiadał bliskość torów i już widziałem "szlabany" - bo tak się to wtedy nazywało, wypreżone w zbędnej gorliwości

oczekiwania na pociąg, którego nie było w rozkładzie, kiedy mi ktoś zameldował, że rozsypało się koło u furmanki, wiozącej prowiant i amunicję. No to przekazałem komuś dowodzenie oddziałem, zatrzymałem przy sobie sekcję lub dwie z pierwszego plutonu, kazałem im zostać przy tym rozsypanym wozie, a widząc w pobliżu gospodarstwo, pokłusowałem tam z luzakiem, aby zarekwirować inny wóz. Musiałem cofnąć się z pięćdziesiąt metrów po drodze, którą przybyliśmy i tyleż pojechać w bok. Kazałem chłopu zaprzęgać. Ociagał się. Rozumiałem go, ale nie ustąpiłem. Nie spiesząc się zaprzęgał i ruszyliśmy stępem ku tej naszej drodze, ja – przodem, luzak za wozem. Ten odcinek drogi, na którym zostawiłem moich żołnierzy, nie był z tej bocznej drożki widoczny. Nawet z wysokości siodła, bowiem rosło coś wysokiego, uniemożliwiającego wgląd. Stąd moje zaskoczenie, kiedy wyjechałem na drogę. Moi chłopcy siedzieli w rowie, a na środku drogi stał rozkraczony sowiecki automatczyk i trzymał ich pod groźbą wycelowanej pepeszy. Zmartwiałem. Wizja Melani Cukier z Czerwonego Sztandaru. Tyle że nie oficerowie. Nie miałem zresztą czasu na domysły, bo bojec... nie, sierżant skierował automat w moją stronę ze słowami :

- A nu-ka, slezaj, s kania i ruki wierch!

Na ile mi pozwalała słaba znajomość rosyjskiego, zacząłem mu wyjaśniać, że to jakieś nieporozumienie, bo przecież nasz generał (kłamałem) zawarł z waszym dowódcą porozumienie o współpracy, więc to co on robi, nie ma sensu. Ale on wiedział swoje, zapewne rozkazy miał wyraźne, albo to podoficer NKWD, albo SMIERSZ, fachowiec w łapaniu ludzi. Powtórzył swoje i zagroził, że użyje broni. W czasie tych pertraktacji oczywiście skazanych na niepowodzenie, podjechałem powolnym stępem do niego i moich rozbrojonych żołnierzy. Pamiętam stojący z boku motocykl z zawieszonym na kierownicy karabinem. Pod groźbą serii z automatu zsiadłem z konia i oddałem wodze, zdaje się temu chłopu, który powoził tym starym, rozsypanym wozem, a oddając, znalazłem się pomiędzy Rosjaninem a grupą siedzących w rowie ułanów.

- Otdaj awtomat !

Znów próbuje perswazji. Wersja o rzekomej ugodzie między dowódcami stanowiła jedyny argument, jaki mi w tej niezwyklej rozmowie przychodził do głowy więc mu to usiłowałem wytłumaczyć, ale on miał na wszystko jedną odpowiedź:

- Otdaj awtomat, a to strielat budu...

Ja - znów swoje, a on uprzedza, że powtarza zadanie po raz ostatni i odciąga zamek pepeszy. Wylot jego lufy gapi się na mój ryngraf z odległości pół metra. Nie było wyjścia. Zdjąłem automat. Kazał go odebrać ode mnie temu nowemu chłopu. Wzbraniał się. Rosjanin roześmiał się z jego nieuzasadnionego tchórzostwa.

- Boiszsia? Bieri, nie bojsia...

Chłop, ociągając się, demonstrując wobec mnie działanie pod wyraźnym przymusem, wziął ode mnie moją zdobytą na szosie oszmiańskiej broń i trzymał ją daleko przed sobą. A ja uniosłem ręce do góry. Pierwszy raz w życiu. I ostatni. W głowie zamęt, rozpacz, że ledwie się ten nowy akt zaczął, ja znów, jak po wrześniu - siedzę. Ale wiem, że gra jeszcze nie skończona, tylko wciąż nie wiem, jakie posunięcie z mojej strony jest możliwe. Na szczęście - pewny siebie, triumfujący sierżant popełnił błąd.

- Pistolet toż... - powiedział bezlitośnie, ale mówiąc to, czegoś nie wiedział. Nie znał mojej kedywowskiej przeszłości i nawyku noszenia pistoletu z dziewiątą kulą w lufie. I nie oglądał amerykańskich westernów, w których, jeśli się kogoś rozbraja, to mu się kaze zdjąć pas.

- Pistolet toż... - powiedział.

Wielu oficerów i żołnierzy AK przyjęło niemiecki sposób noszenia pistoletu, - przypinali kabure z lewej strony, z przodu. Nie wiem dlaczego, ja zostałem przy polskim, regulaminowym sposobie - z prawej, z tyłu. Wykonując więc dokładnie jego polecenie, sięgnąłem poza siebie, wyjąłem visa, jednocześnie odciągając kurek i nie śpiesząc, przeniósłem broń do przodu, jakby z zamiarem oddania jej, a wtedy to już miałem przewagę mojej decyzji i determinacji - wobec jego błędu. I byłem o małą ułamek sekundy szybszy. Ja strzeliłem. Chłop podbiegł i czym prędzej, z demonstracyjną gorliwością oddał automat, drugi konia. Dałem rozkaz " na koni " i popędziliśmy za naszą kolumną.

Bóg mi świadkiem, że wykorzystałem wszystkie mogące mu przemówić do wyobraźni argumenty i całą znajomość języka rosyjskiego, by uniknąć rozstrzygnięcia jakie się narzuciło. Nie mówiąc o racjach moralnych, do których należał fakt, że od września, po mierze sił i możliwości, walczyłem przeciwko pierwszemu agresorowi - Niemcom; oraz że byłem na własnej ziemi, a ten tu - na cudzej.

Okazało się, że wyszli na moich chłopaków zniecka, z bronią gotową do strzału. Tego sierżanta zostawili na straży, a sami poszli po pomoc lub środek transportu.

Majorowi "Strycharskiemu" zameldowałem, co się zdarzyło, przewidując możliwość odwetu. Ale, skoro znaleźli trupa z odbezpieczonym automatem w ręku, uznali widocznie incydent za mieszczący się w ramach normalnej wojennej praktyki i nie podjęli żadnych kroków.

Nazajutrz przed południem znaleźliśmy się w zalesionej kotlinie, w której nasza droga rozpełzała się między olchami. Ktoś powiedział, że to Puszcza Rudnicka, ktoś inny, że po obu stronach kotliny, zakryci skarpami stoja Sowietci. Otrzymałem kolejny rozkaz majora " Strycharskiego ", przedstawiający sytuację jako skomplikowaną, zezwalający poszczególnym żołnierzom i pododdziałom na podjęcie własnych decyzji, choćby powrotu do domu.

Powtarzały się epizody września. Owa polana, na którą wjechały sowieckie pancerki, konieczność podjęcia decyzji, przypadki, które tak zasadniczo wywarły wpływ na dalszy bieg mego życia. Przekazałem rozkaz żołnierzom i oświadczyłem, że będę się przedzierał na południowy zachód, z zamiarem dogonienia frontu, przegonienia i zorganizowania się ponownie na niemieckich tyłach. Zgłosiło się z dziesięciu młodych podoficerów, osiemnastolatków, tych co zdobywali wojskowe stopnie w "zielonych podchorążówkach" i wprosił się jakiś oficer, podporucznik z innego oddziału.

Staliśmy na skraju bagien broniących w tym miejscu dostępu do wnętrza puszczy. Trzeba się było rozstać z koniem. Miał wpaść wraz z siodłem i szablą w ręce sowieckie. Powtarzały się elementy przeżytego. Sięgnąłem po visa, by konia nie oddać. Tych kilka tygodni wspólnej służby nie wytworzyły między nami więzi, o jakiej mógłbym marzyć, no choćby tej sympatii, jaką żywiła dla mnie Juratka w Bolczach. Ale kiedy popatrzyłem w jego pocziwe oczy, nic nie rozumiejące ze spraw ludzkich, chyba dobro i zło od ludzi pochodzących, pocałowałem go w to aksamitne miejsce

między nozdrzami i ruszyłem na czele mojej dwunastki na bagna. Było to rozlewisko czarnej wody, z której sterczały drzewa, każde okolone wiankiem korzeni i bagienną zielenią tworząca elastyczna, ale zdolną utrzymać człowieka, kępę. A myśmy skakali z kępy na kępę, czasami zwalony pień ułatwiał komunikację z następnym punktem oparcia dla stopy. I szybko został za nami gwar tego miejsca, w którym się nasza kolumna rozformowała, a i Sowieci przestali nam deptać po piętach, bo nas po prostu stracili z oczu.

* * *

Było nas chyba dwunastu, ale niełatwo po czterdziestu kilku latach przywołać z pamięci pseudonimy. Szli ze mną – "Huzar" i "Hel" – to dwaj plutonowi z tej grupy, co zdobyła działko pe-panc. Szedł "Gruby", do niedawna adiutant "Groma", oraz jego jeszcze młodszy brat. Dołączył też do mnie "Johan", Alzatczyk, którego Trzecia Brygada odbiła kiedyś od Niemców, a on wybrał służbę w Armii Krajowej i dzielnie sobie poczynił. Ow officer, o którym wspomniałem i jeszcze siedmiu, z których co najmniej jednego radbym z pamięci wygrzebać wraz z jego pseudonimem. Był chyba najmłodszy w tym oddziale, a w każdym razie na takiego wyglądał i do tych zapewne należał, którzy służbę w AK zaczęli od niewinnego oszustwa, polegającego na dodaniu sobie roku lub dwu do rzeczywistego wieku. Dla łatwiejszej identyfikacji nazwę go "Dzieciuchem", choć w rzeczywistości miał pseudonim z gatunku groźnych, od dzikich zwierząt wzięty, albo ze stronic Sienkiewicza.

Po godzinie czy dwóch dobrnęliśmy do sporej wysepki, a już na niej odpoczywał równie nieliczny jak mój, oddziałek "Tońka". O "Tońku" słyszałem sporo, bo należał do najdzielniejszych w Okręgu. Cichociemny, uczestnik wielu akcji, twórca Szóstej Brygady i Wileńskiego Kedywu, ale zetknęliśmy się wtedy po raz pierwszy i na lat dziesiątki – ostatni. On również wiodł grupkę swoich z jakimś planem, którego szczegółów nie pamiętam. Pogadaliśmy, sprawdziliśmy przemoczone na bagnach buty, poprawiliśmy rynsztunek i byliśmy gotowi do dalszej drogi. "Huzar", który w czasie mojej przygody z Rosjaninem siedział za moimi plecami, w rowie, wycmokał z podziwem: "Panie poruczniku, ale go pan załatwił... Ja tylko patrzyłem, jak pan ten kurek odciąga..." "Gruby" miał mapę tych okolic. Niestety, z naszej wysepki wśród bagien dałoby się kamieniem dorzucić do zachodniej ramki tej mapy i tegoż dnia weszliśmy w teren, po którym nieprecyzyjnie wiodła nas busola, podobna do Besarda, dająca jedynie szansę utrzymania najogólniejszego kierunku, a jak znaleźć osiedla ludzkie, zdolne wspomóc nasz wysiłek choćby bochenkiem chleba? Należało przypuszczać, że Rosjanie pozajmowali wsie. Tylko mapa mogła nam wskazać leśniczówkę lub inny samotny dom, na którego pomoc mogliśmy liczyć. Owszem, parę razy trafialiśmy na takie, jak tu nazywano hutory, ale straszyły pozamykanymi drzwiami i oknami, dobrze, jeśli się udało urwać marchewkę w ogródku. Drugiego czy trzeciego dnia trafiliśmy na dom zamieszkały. Ścisłej – został tam mężczyzna w sile wieku, zapewne pilnujący dobytku, choć ryzykował w tej głuszy życiem. Dał nam kartofli z solą. Kiedy go opuszczaliśmy, powiedział coś, co zabrzmiało jak żal, że nas tak skąpo podejmował. Zrozumiałem jego niejasną wypowiedź w ten sposób, że gdyby on od razu wiedział, że nie jesteśmy z tych co rabują, to znalazłby coś lepszego. Ale nie spróbował

rehabilitować się w naszych oczach, zaopatrując nas w cokolwiek na drogę. A nam głupio było prosić go o to. Parokrotnie trafialiśmy na żywych ludzi, którzy podejmowali się roli przewodników, swoją dobrą wolę ujawniali w ten sposób, że prowadzili nas bezdrożami do znajomej im wsi, ale zwykle leżała ona niezupełnie na osi naszego zamierzonego marszu. Toteż szybko zorientowałem się, że mój plan dogonienia frontu staje się nierealny. Za dużo czasu zmitreżyliśmy, błądząc, lub też posługując się dobrą wolą przewodników. Jako najbardziej przykry zapadł mi w pamięć dzień, kiedy weszliśmy w niewysoki sosnowy las, pokrywający suche piaszczyste wzgórza. Ktoś powiedział, że to Puszcza Rуска. Może Rуска. Nie było tam ani siedzib ludzkich, ani wody. Długie godziny wędrowaliśmy gnębieni pragnieniem. Jak by na kpinę zachmurzyło się i spadło odrobinę deszczu. Zlizywaliśmy skąpe krople z sosnowych kiści. Koło południa poszliśmy spać, osłonięci gęstwina zarośli. Dla mnie (zapewne dla każdego z nas) był to koszmarny sen, przerywany marzeniem, w którym przychodziła do mnie dziewczyna z dzbanem mleka, zaczynałem je pić, ale budziłem się przed doznaniem smaku pierwszej kropli, zasypiałem i znów pojawiała się soczysta zieleń wsi i dziewczyna z mlekiem. Dopiero w nocy zagroziła nam drogę rzeczka, w której ugasiłmy pragnienie.

Zmierzaliśmy ku innej rzece, znacznie większej i trudniejszej do przebycia. Nazywała się Niemen. A tu na czwarty czy piąty dzień marszu paru chłopaków zaczęło się skarżyć na wrzody, następnego dnia jeszcze paru, a my, prócz opatrunków osobistych nie mieliśmy żadnych leków ani wiedzy medycznej. Bliskość Niemna objawiła się nam oznakami zgoła nie przyrodniczymi, za to bardzo sowieckimi: huczało polecie z głośników czyli "gromkogawaritieli" - "Wychodziła na bierieg Katiusza". Wykombinowałem sobie, że jeżeli zostawię z prawej "Katiuszę" a z lewej "Sinij płatoczek", to się przemknę pomiędzy dwoma biwakami. I to mi się udało. Ale nieco dalej, kiedy zielone bagienka zmusiły nas do przemykania się jedyną dostępną, wąską a dość twardą ścieżką, wyleźliśmy za jednym z jej zakrętów wprost na grupę krasnoarmiejców myjących kociołki w strumieniu. Widząc niektórych moich żołnierzy w mundurach pamiętających generała Plechavicziusa, wzięli nas za Niemców i rzucili się do poodstawianych karabinów. Ale wykrzyczana przeze mnie rekomendacja "My polskie partizany, nie strielaj!" oraz fakt, że usłyszeli wołanie nie zaś strzały, uspokoiły ich, przyjrzeni nam się i wdali w ostrożną rozmowę. Zełgałem, że wysłano nas w pogon za grupą Niemców i doszliśmy aż do tego miejsca. Zadnego komandira wśród nich nie było, to pogadaliśmy i rozeszliśmy się z mniej lub więcej szczerymi uśmiechami na twarzach. Musiałem się liczyć z faktem, że pójdą o nas meldunki. Obawiałem się, że weszliśmy w teren, z którego trudno nam będzie się wymknąć. Próbowałem kluczyć między biwakami, ale im bliżej Niemna, tym ich sieć gęstniała. "Johan" kręcił głową i przepowiadał, że nas pochwyca i rozbija, ale nie miał koncepcji, jak tego uniknąć. Przecież droga powrotna nie wchodziła w rachubę! Więc czas jakiś próbowałem się przemykać, aż wreszcie trafiliśmy na drogę, która nas zawiodła bez żadnej alternatywy, na biwak jakiegoś oddziału, wprost w ramiona suzbowego oficera, młodszego lejtnanta. Powtórzyłem gadkę o pogoni za Niemcami, przyjął ją do wiadomości bez-wyraźnych oznak niewiary, zaprosił do wnętrza, a na moją informację, że dawno nic nie jedliśmy, zarządził posiłek. Najedliśmy się chyba po raz pierwszy od wyruszenia z Wołkorabiszek. Daj im Boże zdrowie. Młodszy lejtnant dowodził

tym oddziałem w czyimś zastępstwie. Wyraził pogląd, że musimy poczekać na powrót dowódcy, jednocześnie, trzeba przyznać - grzecznie, poinformował mnie, że znajdujemy się w tej chwili pod ochroną Armii Czerwonej, że wobec tego prosi o oddanie broni jako niepotrzebnej. Przykro, ale gdybym był na jego miejscu, też bym się nie zgodził, aby obcy uzbrojeni ludzie zasiedli w środku mojego oddziału. Na moją prośbę zostawił mi pistolet, ale nazajutrz musiałem go oddać, bo przybyły w międzyczasie dowódca w stopniu kapitana okazał się bardziej ostrożny niż jego zastępca. A kto wie, czy po prostu nie mieli za mało broni dla siebie.

Spędziliśmy na tym biwaku kilka bezczynnych dni. Myśle, że wartownikom kazano nas mieć dyskretnie na oku, ale nie spotkała nas żadna przykrość, nie licząc przygnębienia, jakie odczuwaliśmy wszyscy wobec kolejnego niepowodzenia. Przezuwałem moje decyzje i przypadki, jakie naszymi krokami rządziły i szukałem błędów. Na pewno brak mapy stanowił poważny szkopuł. Gdyby nie to, nasza droga wyglądałaby inaczej, może - lepiej. Liczyło się, że ktoś opatrzył chłopakom te wrzody i po paru dniach poczuli się lepiej. Tym razem obeszło się bez podnoszenia rąk, ale nasz los pozostawał niejasny. Liczyłem na znaczną odległość od Wilna, a więc brak koordynacji Rosjan w działaniu. Zapewne wiele też zależało od tego, czy najbliższe NKWD ma, używając drętwej mowy, "wolne moce przerobowe" czy nie. A nasz kapitan niewątpliwie czekał na rozkazy. Otrzymał je wreszcie i oto przydzielił nam dwóch opiekunów z automatami, być może jakiś prowiant i ruszyliśmy w drogę. Czy jej cel znaleźliśmy, czy też stanowił tajemnicę wojskową nie pamiętam. Myśle, że mnie uprzedzono o wymarszu na "piereslynny punkt" w Druskiennikach. A więc - kurort. To słowo ma w Związku Radzieckim dwa znaczenia. To drugie - o wywodziu kpiącym i tragicznym. Tym razem jednak chodziło o kurort określony, pamiętny w Polsce choćby wizytami Marszałka Piłsudskiego. Do dwóch naszych opiekunów nie pasowała nazwa konwojentów. Za słabi jak na naszą grupę, a i czuli się raczej przewodnikami i opiekunami. Szliśmy bowiem na skróty. Parokrotnie jasno-feldgrau mundury moich chłopaków budziły u mijanych sowieckich żołnierzy wrogie okrzyki i żądanie rozprawienia się z "frycami". Nasi opiekunowie albo wtedy wyjaśniali nieporozumienie, albo, jeżeli ilość napastników była niewielka, "kryli ich matem", czyli, używając naszego wojskowego języka, opieprzali, a bardziej elegancko - lżyli, czyniąc brutalne aluzje do rzekomej rozwiązłości ich matek.

Druskienniki robiły wrażenie obozu wojskowego. Kierowano tam wszelkiego rodzaju partyzantów, maruderów, ozdrowieńców, bezprzornych (t.j. nie mających przydziału), poborowych, a następnie grupami wysyłano ich do oddziałów. Eleganckie wille zarekwirowano na koszary, po ulicach snuły się tłumy najprzedziwniej poubieranych, najczęściej w zniszczone, sowieckie płaszcze wojskowe, ludzi. Na podwórzach dymiły kuchnie polowe i rozdzielały zgrzebne wojskowe jedzenie, a najbardziej osobliwy widok przedstawiały kolejki fasujących to jedzenie. Najwidoczniej nie przygotowano naczyń dla przewijających się przez to miejsce tłumów. A wille uzdrowiska były obficie zaopatrzone w nocniki. Toteż mniej więcej co drugi fasował kaszę w nocnik, a jakiegokolwiek niemiłe skojarzenia były mu obce, bowiem nigdy wcześniej z podobnym garczykiem się nie zetknął.

Umieszczono nas w dość dużym domu, przewidzianym, widać, dla kuracjuszy, a urządzonym na międzywojennych zasadach. Kilka pokoi, z których my zajęliśmy chyba dwa, na piętrze pojemna toaleta. Na jednej ścianie rząd umywalni, po przeciwnej stronie water-closety w oddzielnych

9

kabinkach, ale drzwi od tych kabinek ktoś, w toku działań wojennych, wyszabrował. Dwa lub trzy inne pokoje zajęła grupa akowców augustowskich, dowodzona przez podchorążego, chyba dwukrotnie większa od naszej. Trafili tu podobnymi jak my drogami. Wreszcie w jednym z pokoi zamieszkało trzech sowieckich podoficerów. Owa toaleta czy łazienka była w ciągu pierwszych dni naszego tam pobytu nieczynna, nie działał bowiem jeszcze miejski wodociąg. Przynosiliśmy wodę z pobliskiej studni i korzystaliśmy z jakichś niemiłosiernie zapaskudzonych sławek. Az któregoś dnia rozległ się radosny wrzask, zrywający z postać wszystkich, którzy się jeszcze wylegiwali, bowiem w kranach i ubikacjach pojawiła się woda. I oto prawem kontrastu - nasze troski zniknęły, poczuliśmy się szczęśliwi, mogąc przyzwicie umyć się bieżącą wodą i załatwić to i owo na czystym sedesie. A do tego jeszcze przygoda intelektualna, o jakiej nie mógł marzyć nikt, kto nie przeszedł przez pieresynny punkt w Druskiennikach. Oto kilku z nas szoruje się pod pachami, kilku innych siedzi z papierosem w zębach w pozbawionych drzwi kabinkach, a nagle wbiega trzech młodszych sierżantów, trzech "pistoletów" wbrew woli tu zatrzymanych w pośpiesznej drodze na front. Wbiegli, zatrzymali się u drzwi, rozejrzeli i nagle jeden z nich, ten najbardziej rezolutny zawołał tonem najgłębszego oburzenia:

- Towarzyszc! Wied w komnatie srat niezia!

Zabawiliśmy w Druskiennikach około tygodnia, wystarczająco długo, by moi chłopcy znaleźli w tym tłumie poborowych polskie dziewczyny, stałe mieszkanki kurortu, nawiązali z nimi przyjazne stosunki, które zresztą przydały im się kilka miesięcy później przy nielegalnym przetrzucie na tamtą stronę jałtańskiej granicy. Pewnego dnia zawiadomiono mnie, że zostajemy wysłani do Wilna, do "polskiej armii imieni Kostiuszko". No i zaraz prysnął czar nocników i komnat, w których "srat niezia", bo znów stanęliśmy wobec poważnego problemu. My, oficerowie i żołnierze Armii Krajowej, którzyśmy stworzyli polską wojenną historię tej ziemi, związani akowską przysięgą, zostaliśmy potraktowani jak rekruci z branki i oto Armia Czerwona odstawia nas do takiego wojska, które ma służyć rosyjskim planom, wysnutym z paktu Ribbentrop - Mołotow. Fakt skierowania nas do Wilna nie był sam w sobie zły, przecież wszyscy moi podkomendni stamtąd pochodzili i tam mieli rodziny. A co zrobimy, kiedy tam dojedziemy, to się okaże.

Jechaliśmy pociągiem towarowym pod znów symboliczną ochroną. Tym razem dwóch przypadło na naszą dwunastkę plus dwudziestu tych z Augustowa. Ćmili swoją machorkę, niebardzo się nami interesując, mogliśmy więc swobodnie omówić sytuację. Zresztą - co tu omawiać, decyzje narzucały się same. Kiedy pociąg zatrzymał się w Landwarowie, każdy z nas wyciągnął z plecaka jakąś kurtkę cywilną, sweterek czy koszulę i w mgnieniu oka przedzierzgnęliśmy się w cywilów. Nieznacznie, pojedynczo opuściliśmy wagon i wmieszaliśmy się w tłum dość gęsto wypełniający perony. Oczywiście mowy nie było o pójściu szosa. Ruszyliśmy na przełaj, polami i lasami, wykorzystując znajomość terenu, czy może kierując się widocznymi wieżami miasta. I był to pomysł niezły, bowiem ze wzgórz, którymi omijaliśmy niebezpieczną dla nas granicę miasta (rogatki!), zobaczyliśmy granatowo-czerwone zapory i kręcących się obok enkawudzystów. W przyzwitej od nich odległości weszliśmy w Legionową i oniemieliśmy z wrażenia. Domy leżały w gruzach. Znałem tę ulicę dobrze, przecież kilka razy czyściłem kominy, których teraz nie było, albo sterczały niezgrabne, oskubane z

tego, co do niedawna nadawało sens ich sterczeniu. Nie mogłem pozbyć się wrażenia, że przeżywam zły sen, tak to widziane nie pasowało do znanego. Ale niektóre, zachowane choćby w dużych częściach fragmenty kazały uwierzyć, że to jednak było to samo miasto, tylko okaleczone.

Pozegnaliśmy się na rozstaju czy skrzyżowaniu i poszedłem za Zakret, spodziewając się znaleźć przytułek u znajomych.

Wilno przystosowywało się do kolejnego etapu swoich wojennych przemian. Rok 1939 określano "za pierwszych Ruskich", nieco później - "za drugich Ruskich", a to byli trzeci. Dostałem świetną, jak na daną sytuację pracę - portiera w piekarni. Chodziło o to, by zrećnie umożliwiać piekarzom przekazywanie chleba swoim rodzinom. A za to i mnie przypadało po kilka bochenków codziennie. A chleb - była to twarda waluta.

I tak dotrwałem nocy, kiedy po mnie przyszli. Właściwie nie po mnie, ale brali wszystkich. W więzieniu łukiskim, zbudowanym przez Rosjan na trzy tysiące więźniów, siedziało dwanaście i więcej. Ale ten kolejny etap niedoli wydaje się mniej dotkliwy wobec drobnego przeżycia, jakie mnie zaskoczyło tuż przed aresztowaniem. Ktoś przekazał mi wiadomość, że jakaś pani, znająca mój pseudonim chce się koniecznie ze mną zobaczyć. I doszło do spotkania. Z osobą, której nigdy w życiu nie widziałem.

- Dziękuję, że chciał się pan ze mną zobaczyć, panie poruczniku. Jestem matką "Dzieciucha" - powiedziała, przypominając mi mojego najmłodszego żołnierza. Szukałam pana i kontaktu z panem po to, żeby w imieniu matek tych naszych chłopców - wymieniła ponad pięć pseudonimów - podziękować panu, że nam pan **oddał** nasze dzieci.

Przede wszystkim przyszło mi do głowy, że ja im tych dzieci **nie zabrałem**, żeby je następnie **oddawać**. Może należałoby powiedzieć: **odprowadzić**. A nieco później zrozumiałem, że one, te matki potraktowały mnie jak rękę Losu, bo nie przychodziło mi do głowy określenie: Opatrzność. Los zabrał im te dzieci i tenże Los, za moim pośrednictwem im te dzieci oddał. A wtedy już wiedziałem, że większość naszych żołnierzy, ci którzy nie wymknęli się z oblawy, kilka tysięcy - trafili do Miednik, a stamtąd na wschód, na inną niż nasza poniewierkę. O tamtych nie było wieści.

Chyba każdy, kto w czasie wojny przejawiał taką lub inną aktywność, kto przeżył radość sukcesów i gorycz porażek, zadawał sobie nedorzeczne pytanie, a co by było, gdybym w tym lub owym momencie postąpił inaczej, albo gdyby okoliczności ułożyły się inaczej. I mnie to też wiele razy przychodziło do głowy. No, choćby ta refleksja o dwóch szpiclach zostawionych niefortunnie w leju po odbiciu "Freza", albo ten nie podparty mapą marsz do Niemna... I chodziło mi nieraz po głowie, że gdyby ten marsz się udał i prowadziłbym boje z tamtej strony Niemna, nie bez ofiar oczywiście. I gdybym tych dwóch w leju zlikwidował. I gdybym dopadł Kiełbszasa. I jeszcze kilka innych "gdyby" w tej wojennej poniewierce, a nie przyszła by matka "Dzieciucha", by mi w imieniu swoim i tamtych matek podziękować, że ich im **oddalem**, to remanent **mojej** wojny - byłby uboższy.

Sierpień 1988.

PORÓWNIANIE LIBERALIZMU (socjaldemokracji) I KONSERWATYZMU Z LIBERTARIANIZMEM

Wielkim problemem naszych czasów jest inflacja; co powinien w tej sprawie czynić rząd?

Liberał (L) : Należy wprowadzić kontrolę płac i cen oraz ustanowić limity dla wzrostu stopy procentowej.

Konserwatysta (K) : Należy powoli zwiększać podaż pieniądza, w tempie stałym, zamiast dopuszczać do gwałtownego stopnia emisji.

Libertarianin (Lb) : Należy w ogóle zatrzymać rządową maszynkę do produkowania pieniędzy, czyli zastopować emisję pieniądza, ustanawiając stabilny, oparty na wolnym rynku system monetarny. Rząd nie powinien kontrolować emisji pieniądza.

Czy powinna być obowiązkowa służba wojskowa?

L : Tak, ale nie w okresie pokoju.

K : Tak, likwidacja obowiązkowej służby wojskowej zachęca wrogów do bardziej agresywnej polityki.

Lb : Nie nigdy, w żadnych okolicznościach. Obowiązkowa służba wojskowa to forma niewolnictwa, a niewolnicy są złymi obrońcami wolności.

Czy rząd powinien pomagać przedsiębiorstwom w trudnych dla nich momentach finansowych?

L : Tak, bo to ratuje stanowiska pracy, zatem chroni przed bezrobociem.

K : Tak, bo rząd powinien pomagać biznesowi przetrwać trudne chwile.

Lb : Nie. Pomoc finansowa rządu polega zawsze na tym, że zabiera jednemu, aby dać drugiemu. Nikt nie może być subsydiowany kosztem finansowego przymusu, stosowanego wobec kogoś innego.

Czy rząd powinien chronić rodzimy przemysł przed zagraniczną konkurencją m. in. poprzez system cel, kwot importowanych, innych barier?

L : Tak, dla ratowania krajowych miejsc pracy

K : Tak, jeśli to konieczne dla ratowania ważnych dla gospodarki gałęzi przemysłu.

Lb : Nie, cła, kwoty importowe i inne bariery gwałcą prawa ludzi, którzy chcą ze sobą handlować. Ograniczenia w handlu zagranicznym zmniejszają w istocie, na dłuższą metę produktywność i zwiększają w istocie bezrobocie.

Czy powinny być utrzymane limity imigracji do USA?

L : Tak, bo biedni imigranci zabierają miejsca pracy biednym Amerykanom.

K : Tak, bo nadmierna ilość imigrantów tworzy problemy asymilacyjne, zwiększa wydatki socjalne - więc i podatki, godzi w obowiązujący styl życia.

Lb : Nie. Należy usunąć bariery imigracyjne bo człowiek ma prawo podróżowania i poszukiwania swej szansy życiowej, gdzie chce.

Czy ustawowa płaca minimalna powinna być utrzymana, zwiększona, czy zmniejszona?

L : Ustawowe minimum płacy należy utrzymać lub podnieść, aby zmusić pracodawców do godziwego wynagradzania pracowników.

K : Płacę minimalną należy raczej obniżyć dla młodych pracowników, bo wielu z nich nie ma jeszcze dostatecznych kwalifikacji, doświadczenia zawodowego i umiejętności.

Lb : W dziedzinie wynagradzania za pracę nie ma miejsca na żadną rządową regulację, bo jest to każdorazowo sprawa do swobodnego uzgodnienia między pracownikiem a pracodawcą. Przepisy o płacy minimalnej trzeba w całości uchylić.

Czy prawo powinno wymagać od dzieci, by uczęszczały do szkół?

L : Tak, w przeciwnym wypadku niektórzy rodzice mogliby nie zapewnić swym dzieciom minimum wykształcenia.

K : Tak, w przeciwnym razie wiele dzieci niesprostałoby wymogom nowoczesnego społeczeństwa.

Lb : Nie, przepisy o przymusowym kształceniu naruszają prawo rodziców i dzieci do samodzielnego decydowania o rodzaju wykształcenia.

Czy modlitwa powinna być obowiązkowa w szkołach?

L : Nie, bo to narusza zasadę rozdziału religii od państwa.

K : Tak, jeśli taka jest tradycja danego kraju.

Lb : Modlitwa w szkołach jest tylko dlatego kwestią sporną, że szkoły są państwowe. Gdyby istniał rozdział oświaty od państwa w ogóle nie byłoby tej kwestii (szkoły prywatne).

Czy posiadanie broni palnej powinno być przez prawo zakazane lub ograniczone?

L : Tak, tylko wykonawcy prawa i wojskowi mogą posiadać broń.

K : Pewne ograniczenia dotyczące posiadania broni krótkiej byłyby wskazane.

Lb : Posiadanie broni nie narusza niczych praw, nie powinno więc podlegać żadnym ograniczeniom. Karać trzeba agresywne użycie broni.

Jaka powinna być polityka rządu w sprawie przerywania ciąży?

L : Kobieta ma do tego prawo i gdy nie stać jej na zabieg, powinna to móc uczynić w ramach społecznej pomocy medycznej.

K : Aborcja jest morderstwem i powinna być karana.

Lb : Rząd nie może nikogo zmuszać, aby płacił na społeczną służbę zdrowia i w ten sposób finansował cudze zabiegi przerywania ciąży.

Czy kary za posiadanie, używanie lub handel narkotykami powinny być zaostrzane czy łagodzone?

L : Zaostrzane, wobec handlarzy, łagodzone wobec użytkowników.

K : Zaostrzane wobec wszystkich.

Lb : Posiadanie, używanie i handel narkotykami nie narusza niczych praw, a zatem wszystko to powinno być dozwolone.

(tak samo - w kwestii pornografii)

Jaki jest najlepszy sposób postępowania wobec deficytu budżetowego?

L : Podnieść podatki i zmniejszyć wydatki zbrojeniowe.

K : Utrzymać obecne podatki a zmniejszyć wydatki na cele socjalne, finansowane z podatków.

Lb : Ograniczyć wydatki rządu tylko do wydatków zbrojeniowych i na ochronę konstytucyjnych praw jednostki.

Jaka polityka służy najlepiej ludziom ubogim i pokrzywdzonym przez los?

L : Trzeba zwiększać rządowe programy finansowej opieki, zapewniające kształcenie biednych, pomoc w opiece nad dziećmi, zaspokoić podstawowe potrzeby.

K : System opiekuńczy nie sprawdza się, zwiększa jedynie uzależnienie ludzi biednych od rządowych programów pomocy społecznej. Trzeba wymagać by osoby pobierające zasiłek społeczny uczestniczyły w pracach publicznych danego kraju.

Lb : Trzeba dążyć do uruchamiania nowych stanowisk pracy poprzez znoszenie ingerencji rządu w gospodarkę, przepisów prawnych, biurokratycznych ograniczeń itd. Państwo nie powinno prowadzić działalności socjalnej, czyli charytatywnej, bo gros wydatków idzie wówczas na biurokrację i utrwalanie sytuacji masowego bezrobocia.

Jan Wiaziemski

(tłum. z "The Economist" Październik 1988)

" DOLAR W MALINACH "

Nie przypuszczali zapewne Amerykanie, że podjęta przez nich decyzja popierająca starania władz PRL w Banku Światowym o przyznanie kredytu dla przedsiębiorstwa Hortex, wywoła burzę w kraju i na emigracji. Ostatecznie suma przecież niewielka 17 mln 900 tysięcy dolarów. Każdy, kto wie, że bieżące zadłużenie PRL na Zachodzie sięga już 40 miliardów dolarów zdaje sobie sprawę, że kredyt w wysokości około osiemnastu milionów dolarów zrujnowanej gospodarki kraju nie uratuje. Taką pożyczka nie da też żadnych szans na pokonanie bieżących kłopotów finansowych ekipy Rakowskiego. Można było przypuszczać, że cała sprawa przez opinię społeczną nie będzie nawet zauważona, a sam Rakowski z nową ekipą odczyta to jako gest dobrej woli ze strony amerykańskiego departamentu stanu. I można powiedzieć, że to drugie przypuszczenie się sprawdziło. Życie Warszawy w wydaniu 12 listopada zamieszcilo obszerny tytuł *PIERWSZY KREDYT BANKU ŚWIATOWEGO DLA POLSKIEJ FIRMY - 17 MILIONÓW DOLARÓW NA OGRODNICTWO* Dalej warszawski dziennik polskiego czytelnika informował: "Czwartkowy New York Times doniósł o pożyczce Banku Światowego dla polskiego przedsiębiorstwa. Poświęcił tej informacji sporo miejsca uważając, iż pierwszy kredyt tej instytucji dla Polski jest ważnym wydarzeniem w polityce gospodarczej" Z kolei Trybuna Ludu kilka dni później pisała *MARKI DLA HORTEXU*. 17 bm w siedzibie Narodowego Banku Polskiego w Warszawie odbyło się podpisanie umowy o przyznanie przez Międzynarodową Korporację Finansową długoterminowego kredytu dla Przedsiębiorstwa Handlu Zagranicznego Hortex. Obydwa artykuły informują następnie, że pieniądze te przeznaczone będą na rozbudowę i modernizację Zakładów Przemysłu Owocowo - Warzywnego Hortex w Górze Kalwarii. Podobne artykuły zamieszczono również w innych gazetach. Ogólny ich ton był taki, by sprawić na czytelnikach wrażenie, że wreszcie i w zakresie możliwości zdobycia przez władze PRL kredytów zachodnich coś drgnęło i zaczyna się zmieniać na lepsze. Są więc szanse na odbudowywanie gospodarki i malowanie przed społeczeństwem świetlanej przyszłości. Co bardziej inteligentni mieli zapewne dodatkowo w tych informacjach odczytać wyraz udzielonego przez Zachód poparcia Rakowskiemu.

Wydaje się, że wszystko potoczyłoby się bez echa gdyby nie zaskakująca przede wszystkim notabli w Warszawie informacja, że przeciwko takiej decyzji zaprotestował Kongres Polonii Amerykańskiej. Odpowiedni tekst postanowiono złożyć w Departamencie Stanu. Natychmiast zareagowała Trybuna Ludu. 16 listopada ukazał się artykuł pod tytułem *BETON W CIEŚCIE*. Partyjny organ próbował ośmieszyć w oczach czytelnika decyzję KPA wybierając do tego celu pojedyncze słowa, z których wynikało, że obiekty naszych rodaków w Stanach Zjednoczonych sprowadzają się do obaw, iż kredyt dla Hortexu nie będzie służył "polskiemu światu pracy, lecz betonowi partyjnemu". Trybuna Ludu naturalnie kpi z takiej argumentacji nie podejmując żadnej rozsądnej polemiki. Ba, nie publikując pełnego tekstu protestu.

Osobiście również dokładnie nie wiem, jak dokument KPA wyglądał i co zawierał. Mogę się jedynie domyslać, ale nie ma to w tej chwili większego znaczenia, bowiem sprawa ostatecznie

została przez Johna Whiteheada załatwiona i kontrakt podpisano. Warto się jednak tej aferze - tak to trzeba nazwać - przyjrzeć, gdyż ujawnia ona pewne mechanizmy, które z jednej strony odslaniają naiwność zachodnich ekonomistów i polityków w kontaktach z członkami rządów komunistycznych, a z drugiej pokazują, jak łatwo komunistom przychodzi przekonać zachodnich biznesmenów używając w bezpośrednich rozmowach słów, które w rzeczywistości komunistycznej niewiele znaczą, albo tę rzeczywistość zniekształcają.

Przykładem takim jest właśnie Centralny Związek Spółdzielczości Ogrodniczej. Niezorientowany w rzeczywistości polskiej człowiek po usłyszeniu takiej nazwy przekonany jest, że jest to typowa spółdzielnia. Jeżeli zaś spółdzielnia, to na pewno własność nie państwa i nie jednego człowieka, ale typowa spółka powstała z dogadania się i wkładów większej ilości ludzi. W rozmowach z obcokrajowcem wystarczy umieszczone w nazwie przedsiębiorstwa słowo spółdzielnia przetłumaczyć wprost i powtarzać w kółko cooperative, company, owned cooperatively, by zrozumieli, że faktycznie mowa jest o czymś co odpowiada popularnym w krajach zachodnich związkom czy spółdzielniom zakładanym przez farmerów czy bauerów. Jak łatwo w praktyce wprowadzić zachodnich rozmówców w pole niechaj świadczą komentarze, jakie ukazały się na temat tej pożyczki w prasie zachodniej. Nawet tak renomowana agencja prasowa jak Reuter już 9 listopada podała w świat następującą wiadomość: *"Hortex, największe w Polsce przedsiębiorstwo chłodnicze, zamierza w przyszłym tygodniu podpisać umowę o kredyt wartości 17 milionów dolarów z Międzynarodowym Funduszem Walutowym. Spółdzielnia posiadająca zakłady na terenie całego kraju ... itd"* Z kolei dziennik The New York Times 11 listopada obszerny artykuł na temat tej pożyczki zakończył następująco: *"Pożyczka Banku Światowego przeznaczona jest dla Hortexu - spółdzielni rolniczej - wiodącego w Polsce przedsiębiorstwa, które "udowodniło swoje możliwości eksportowe", powiedział przedstawiciel banku prosząc o zachowanie anonimowości. Pieniądze będą przeznaczone na rozbudowę 6 spośród 9 chłodzi. Jako Spółdzielnia, Hortex jest własnością 300 000 chłopów. Rolnictwo w Polsce od dawna jest w prywatnych rękach".* Zdanie mówiące o tym, że Hortex jest własnością 300 tysięcy chłopów polskich powtarza się w kilku innych relacjach prasy zachodniej. Ten argument powtarzano uparcie podczas debaty w Departamencie Stanu. Był on niezbędny, ponieważ instytucja, która udzieliła tego kredytu, International Finance Corporation, sekcja Banku Światowego, może udzielać pożyczek tylko z przeznaczeniem na rozwój sektora prywatnego w danym państwie. Nie wymieniany z nazwiska przedstawiciel IFC dziennikarzom zachodnim oświadczył że *"Jest wiele powodów dla których pożyczkę tę ostatecznie dla Polski zatwierdzono, jednym z najistotniejszych był jednak fakt, że Hortex jest własnością chłopów i że chłopci przerabiają w zakładzie swoje zbiory, które potem sprzedają na Zachód"*. Z kolei także nie wymieniany z nazwiska przedstawiciel Departamentu Skarbu w Waszyngtonie oświadczył: *USA głosowały za przyznaniem tego kredytu dla Hortexu, ponieważ "dopomoże to w rozwoju sektora prywatnego"*.

Niektórzy dziennikarze zachodni zwrócili uwagę, że Stany Zjednoczone, które cały czas były przeciwnie jakimkolwiek kredytom dla Polski, nagle teraz, kiedy na stole Rady Dyrektorów IFC pojawił się wniosek o pożyczkę dla Hortexu głosowały za. Z nieoficjalnych źródeł wiem, że stało się to właśnie za sprawą zastępcy sekretarza stanu Johna Whiteheada. Podobno tak bardzo spieszył

się z zatwierdzeniem tego kredytu, że uczestniczący w posiedzeniu eksperci nie mieli czasu na zadanie dodatkowych pytań. Złośliwi powiadają, że John Whitehead spieszył się, bo wiedział, że po odbywających się za kilka dni wyborach, może być już za późno.

Tyle istotnych w tej sprawie faktów. Zapewne niektórzy z czytelników zadają sobie w tej chwili pytanie, jak to może być możliwe, by eksperci IFC nie wiedzieli, czym naprawdę jest Hortex? Czy możliwe jest, by eksperci Departamentu Stanu, nie wiedzieli jak sprawy mają się naprawdę? Myślę, że trzeba tu oddzielić pierwsze pytanie od drugiego. Zarząd czy też Rada Dyrektorów IFC jest zobowiązana czuwać nad realizacją polityki kredytowej zgodnie z założeniami i celami banku. Jeżeli jest to instytucja jednoznacznie podkreślająca iż udziela kredytów tylko wówczas, kiedy służą one rozwojowi gospodarstw prywatnych, to obowiązkiem Rady było zebrać dokumentację potwierdzającą słuszność ostatecznej decyzji. Fachowcy ze strony polskiej nie są w ciemie bici. Doskonale znają zasady funkcjonowania instytucji i zapewne czynili wszystko, by przekonać szczególnie Amerykanów, do nich to przecież należy głos ostateczny, że Hortex to kooperatywa należąca do chłopów i chłopom służąca. Jeżeli oficjalne dokumenty Hortexu powiadają, że jest to przedsiębiorstwo podległe Centrali Spółdzielni Ogrodniczych, a CSO jest spółdzielnią zrzeszającą 300 tysięcy producentów warzyw i owoców to znaczy, że i wchodzące w jej skład zakłady Hortexu również w jakiś sposób są własnością tych członków. O tym iż jest to wielka fikcja, o tym, że tak jak spółdzielczość mleczarska nie jest żadną chłopską spółdzielnią tylko monopolistą państwowym, o tym, że tak jak Gminne Spółdzielnie Samopomocy Chłopskiej nie są żadnymi spółdzielniami reprezentującymi interesy chłopów i przez samych chłopów powołanymi do życia, lecz są przez komunistyczną władzę zorganizowanymi przedsiębiorstwami państwowymi do wyzyskiwania chłopów - eksperci z IFC nie wiedzą. Żeby się o tym dowiedzieć, trzeba pojechać do chłopów. Trzeba z nimi porozmawiać i opinie zebrać. Na to sobie nikt z zachodnich ekspertów tak renomowanych instytucji nie pozwoli. Zresztą po co? Przecież jest przetłumaczony przez polski MHZ na język angielski statut, są zapewnienia dyrektorów Hortexu w Warszawie i w poszczególnych zakładach, jest wreszcie Centrala Spółdzielni Ogrodniczych. Poza tym, jeżeli już, to dla świętego spokoju urzędnik IFC jedzie do przetwórnii w Górze Kalwarii, bo to najbliżej Warszawy, a tam dyrektor obwozi go po okolicznych wsiach i opowiada jak to właśnie dzięki wybudowaniu zakładów, dzięki zainstalowaniu nowoczesnych linii technologicznych i przy pomocy własnej służby kontraktacyjnej pola dawniej obsiewane żytem zamieniono na plantacje truskawek, porzeczek czy groszku. Dalej dyrektor opowiada przybytemu ze Stanów Zjednoczonych urzędnikowi, że to właśnie dzięki współpracy chłopów z przetwórnią dzisiaj dachy dawniej kryte słomą kryje teraz dachówka, a w każdym domu jest łazienka i samochód. Amerykanin chodzi, kiwa głową, podziwia. Dyrektor zaprowadzi go jeszcze do zaprzyjaźnionego plantatora, który okaże się akurat prezesem związku plantatorów i który zgodnie z obowiązującym zwyczajem, nieprzymuszany, z własnej naturalnie woli upewni gościa z zagranicy, że Hortex to wielkie zbawienie dla okolicznych chłopów, to źródło ich dobrobytu. Tutaj właśnie dowie się on, że w ogóle związek plantatorów istnieje, że zakład zaopatruje chłopów w nasiona i środki ochrony roślin, że organizuje wycieczki chłopom, że wreszcie współpraca obu stron jest samym miodem wymaszczona. A wszystko co dzisiaj posiadają, właśnie Hortexowi zawdzięczają.

Hortex jeszcze dodatkowo, by plantatorów bardziej z zakładem związać, tu wybudował przedszkole, a w innej wsi świetlicę. Sielanka.

Znam to z autopsji. Bywałem i w Górze Kalwarii i w budowanych przez Hortex chłodniach. Taki obraz próbowano mi przedstawić przed obiektywem telewizyjnej kamery filmowej. Dziwnie jakos z tymi opowieściami kontrastowały narzekania samych chłopów o tym, że płacone przez Hortex ceny są zbyt niskie w porównaniu do zysków czerpanych przez Hortex, o tym, że wskutek wyjątkowego urodzaju pomidorów czy groszku nie było co z towarem zrobić, że wreszcie sami chłopci czują się jak w szponach wielkiego latyfundysty, który dyktuje im warunki wedle swego widzi mi się. O tym wszystkim ekspert z Ameryki nigdy się nie dowie. Dbają o to ci, którzy ekspertowi wyznaczają trasę i organizują rozmówców. Jednak w przypadku kredytu dla Hortexu było nieco inaczej. Eksperci Banku Światowego, którzy sporządzili opinie o przedsiębiorstwie otrzymali do ręki bardzo ważny dokument, który ostatecznie powinien przedstawiony dziennikarzom zachodnim entuzjazm nieco ostudzić.

W Stanach Zjednoczonych przebywała była przewodnicząca zakładowej komisji "Solidarności" w Przedsiębiorstwie Handlu Zagranicznego "Hortex-Polcop" Jadwiga Kubalska oraz v-ce przewodniczący tej komisji i ekspert Ogólnokrajowej Sekcji Spółdzielczości Rolniczej - Zdzisław Czuba. Oboje, po ukazaniu się w prasie wiadomości o przyznanej kredycie wydali odpowiednie oświadczenie w którym czytamy: *Przed wprowadzeniem stanu wojennego w Polsce Zakładowa Komisja SOLIDARNOŚCI w PHZ "Hortex-Polcop" opracowała projekt przekształcenia tego przedsiębiorstwa w spółdzielnię usługową w zakresie eksportu i importu dla rolników, ogrodników, spółdzielni i przedsiębiorstw prywatnych. Projekt spotkał się z uznaniem spółdzielców, pracowników jak również i części kierownictwa Centralnego Związku Spółdzielni Rolniczych Samopomoc Chłopska, które skłonne było pójść na uspołdzielczenie "spółdzielczości".*

Dalej z oświadczenia tego dowiadujemy się, że zdecydowanie przeciwni temu projektowi byli przede wszystkim ludzie z kierownictwa PHZ "Hortex-Polcop". Obawiali się oni utraty stanowisk, a ponadto całkowicie obce im były idee spółdzielczości. Dla nich Hortex był tylko i wyłącznie państwowym przedsiębiorstwem handlu zagranicznego. Podczas stanu wojennego w zakładzie przeprowadzono reorganizację w wyniku której utworzono dwa odrębne przedsiębiorstwa "Hortex" i "Polcop". Była to naturalnie operacja czysto administracyjna i pozorna. Dało to szerokie możliwości do usunięcia z pracy wszystkich ludzi niewygodnych. O działalności Solidarności nie było oczywiście mowy. Ówczesny dyrektor przedsiębiorstwa Mirosław Trzeciak za opanowanie wszczętych przez chłopów i Solidarność akcji rewindykacyjnych w zakładzie został przez władze nagrodzony. Mianowano go dyrektorem Spółki Drzewnej w Londynie.

Jadwiga Kubalska i Zdzisław Czuba w innym miejscu swego oświadczenia napisali: *Przedsiębiorstwo Hortex nie zrzecza żadnego rolnika. Jest to typowe przedsiębiorstwo handlu zagranicznego, które jest zaprzeczeniem wszelkiej idei spółdzielczej. Dyrektorzy są z nomenklatury partyjnej, a kierownicy działów są zatwierdzani przez organizacje partyjne. Wedle autorów oświadczenia dotacje dolarowe ratują jedynie przedsiębiorstwo przed bankructwem i wzmacniają relikty komunistyczne na wsi. Hortex posiadając kapitał dolarowy będzie stosował politykę niszczenia*

inicjatywy prywatnej i wszelkich podejmowanych z inicjatywy chłopów załazków spółek i niezależnych od władz spółdzielni. Autorzy są naturalnie przeciwko udzielaniu jakichkolwiek kredytów "rzekomym przedsiębiorstwom spółdzielczym" dopóki ruch spółdzielczy nie stanie się naprawdę samorządnym i spółdzielczym.

Przypuszczam, że ten właśnie dokument w jakimś stopniu zdecydował o działaniach podjętych przez Kongres Poloni Amerykańskiej. Sama interwencja niewiele zmieniła. Być może jednak wyostrzy uwagę odpowiednich kół finansowych przy rozpatrywaniu kolejnych wniosków PRL o kredyty.

Władze w Warszawie coraz bardziej sobie zdają sprawę z tego, że bez kapitałów zachodnich z gospodarczego bagna nie wyjdą. Zdają sobie z tego również sprawę i finansisci wielkich banków. Jednak przykład pożyczki dla Hortexu pokazuje, że łatwo znaleźć drogi okężne, które ostatecznie mogą prowadzić do oczekiwanego celu. Opisany przykład jest właśnie jednym ze sposobów. Najłatwiej powiedzieć, że to nieuczciwe. Ale, kiedy komuniści w walce o władzę postępowali uczciwie? Tym razem zagrano *va banque*. Na szalę postawiono 300 tysięcy chłopów. Trzeba pamiętać, że podobnych do Spółdzielni ogrodniczej, której formalnie podlega Hortex, jest jeszcze wiele. Łatwo sobie wyobrazić, jak łatwo byłoby przekonać zachodnich bankowców o tym, że np. Rolnicze Spółdzielnie Produkcyjne to własność dobrowolnie zrzeszających się chłopów. Zresztą podejrzewam, że tego typu argumentów władze używają w pertraktacjach o kredyty dla kombinatu rolnego w Dębicy. Tutaj nie można zonglować słowami o spółdzielczości, bo oficjalnie mówi się, że jest to kombinat państwowy. Jednak za jednym zamachem przekonuje się, że ten kombinat zmienia oblicze mieszkających w Bieszczadach chłopów i wsi, że to on swoją działalnością wnosi cywilizację na wieś. Jakos mało kto chce się jednak zastanowić skąd liczący w latach siedemdziesiątych kilkaset hektarów kombinat rolny wziął ziemię, by powiększyć obszar swego działania do trzydziestu tysięcy hektarów. Z nieba? Nie, to są hektary, które przez wieki uprawiali chłopci. A kiedy już im sił nie starczyło, albo też pod przymusem ekonomicznym, ziemię oddali państwu, a państwo założyło na niej kombinat. By jednak kombinat mógł funkcjonować potrzebuje kapitału. Ten kapitał dzisiaj zapewniają kredyty zachodnie, głównie z RFN.

Historia Hortexu jest już dość długa. W 1988 roku uroczystie obchodzono 30 lecie firmy. Najpierw było to tylko przedsiębiorstwo, które miało skupowane od chłopów przez spółdzielczość ogrodniczą warzywa i owoce sprzedawać za granicę. Po kilku latach zorientowano się, że pozyskiwany od chłopów towar jest tani i dobrze sprzedaje się za dewizy. Przystąpiono więc do budowy chłodni i tworzenia wokół nich plantacji truskawek, porzeczek, pomidorów, ogórków malin itd. Siła robocza na wsi jest tania. Profity zbijane na tanim towarze za pośrednictwem Hortexu, ale już nie w złotych lecz w dolarach trafiały do budżetu narodowego. Budżet narodowy roztrwoniono na kolejne plany industrializacyjne. Co z tego ma wieś?

Hortex jest dzisiaj największym monopolistą sprzedającym za dewizy 60 procent wszystkich eksportowanych przez PRL warzyw i owoców. Jeżeli do tego dodamy jeszcze eksport realizowany przez Dębicę i zakłady typu Łowicz, Pudliszki czy Rzeszów to widzimy, że na samodzielne inicjatywy chłopskie nie ma już miejsca. Zresztą do tej pory było to prawnie niemożliwe. Teraz istnieją już takie możliwości. Chłopi mogą zawiązywać własne spółki i nawet starać się o licencje eksportowe.

W przypadku znalezienia rynku zbytu i odprowadzeniu do skarbu państwa ustawowego podatku reszta wpływów dewizowych może pozostać w rękach chłopów. Teoretycznie więc pojawiają się na horyzoncie możliwości tworzenia firm konkurencyjnych dla monopolistów typu Hortex czy Dębica. Są przykłady tworzenia się takich inicjatyw. Pamiętajmy jednak, że wymaga to olbrzymich kapitałów. Wiś generalnie, po 40 latach komunistycznych rządów, jest biedna, podobnie zresztą jak i biedne jest państwo. Tyle tylko, że państwo na chłopskich grzbietach wybudowało sobie bazę typu właśnie Hortex, Dębica czy Pudliszki. Państwo ma olbrzymią armię urzędników penetrujących od lat rynki. Teraz państwo otrzymuje tak trudno dostępne w świecie kredyty po to, by budowany, powtarzam świadomie, na chłopskich grzbietach, monopol jeszcze bardziej umocnić.

A przecież można by było inaczej. Zachód, w tym Stany Zjednoczone przede wszystkim, wielokrotnie deklarował pomoc społeczeństwu polskiemu. Teraz, kiedy na władzy wymuszono określone decyzje ustawodawcze i gdy powstaje coraz szersza możliwość przebudowywania zastanych struktur gospodarczych, kiedy można zakładać spółki z kapitałem mieszanym albo i nawet wyłącznie z kapitałem zachodnim zaistniały możliwości przyspieszenia tych procesów. Przecież wyobraźmy sobie, że przyznanie Hortexowi prawie 18 milionów dolarów, podzielono by na osiemnaście równych części. Byłoby ich osiemnaście. Można by było zawiązać osiemnaście spółek lub spółdzielni zrzeszających chłopów z kapitałem wyjściowym po milion dolarów. Gdyby taka możliwość zaistniała w rzeczywistości - to gwarantuję, że chętnych z inicjatywą w ciągu kilku dni byłoby tylu, że trzeba by ogłaszać konkurs i w drodze konkursu wybierać najlepszych. Zresztą już dzisiaj w Polsce łatwo znaleźć tyle właśnie autentycznych spółdzielni i spółek chłopskich, które wsparte takim milionowym zastrzykiem w krótkim czasie dokonałyby cudów. Kapitał zostałby zapewne wykorzystany zgodnie z wolą kredytodawców. Rynek szybko wzbogaciłby się w poszukiwane produkty. Chłopi polscy poczuliby się gospodarzami w swoich autentycznych spółdzielniach i nie byłoby zbędnego przecież niezadowolenia i swądu. A on jest nie tylko w Chicago, ale także już i w Polsce.

4 grudnia w Stalowej Woli odbyło się posiedzenie Solidarności Wiejskiej województwa tarnobrzckiego. Uczestniczyło w nim około 70 osób. W wydanym po tym spotkaniu oświadczeniu czytam, że chłopie dyskutowali o najważniejszych sprawach wsi, rolnictwa, kraju. W kilku sprawach *"podjęto wiążące działania"*. W tym także: *"W sprawie Hortexu i tzw. spółdzielczości ogrodniczej, bezpodstawnie protegowanych przez firmy polonijne i wspieranych nieuzasadnionymi kredytami przez koła finansowe Zachodu"*.

Nie wiem, na czym to wiążące działanie w tej konkretnej sprawie ma polegać. Wiem natomiast, że chłopie ze Stalowej Woli wiedzą lepiej od amerykańskich ekspertów i dziennikarzy czy Hortex jest spółdzielnią należącą do chłopów czy nie. Poza tym, jeżeli już zaproponowałem konkretny podział i wykorzystanie 18 milionów dolarów, to dodam jeszcze, że taka propozycja powinna wyjść właśnie od rządu PRL. To rola rządu kraju szukać kapitałów i możliwości rozwojowych dla środowisk i ludzi z inicjatywą, a nie tworzenie konkurencji blokującej te inicjatywy. W takiej przepychance nic pozytywnego się nie zdarza. Przybywa tylko dodatkowy argument pokazujący, że władzy idzie o umocnienie swego stanu posiadania i zabezpieczenie wszelkich możliwych jeszcze do uratowania pozycji bez względu na ogólne koszty. To też zachodnia finansjera powinna zrozumieć.

Miron Dolot

GLÓD NA UKRAINIE

(fragment książki "Execution by hunger" - Nowy York, Londyn 1985)

Kolektywizacja wsi w ZSRR jest słabo znana polskiemu czytelnikowi. Brak ogólnych omówień i syntez, monografii, pamiętników itd. Znane są tylko hasła i stereotypy. Nic zatem dziwnego, że w takiej perspektywie giną lub zacierają się sprawy o podstawowym często znaczeniu, jak np. funkcjonowanie przerażającego aparatu władzy, przy pomocy którego kolektywizowano wies i który, choć kierowany przez ludzi, miażdżył ludzi nie wyłączając i samych oprawców. W perspektywie tej zacierają się też moralny wymiar kolektywizacji - trudno dziś wyobrazić cierpienia konkretnych jednostek, ich rozpaczliwa walka o fizyczne przetrwanie i zachowanie własnej godności, i jakże często ich upadek, bo w walce zatracali się elementarne wartości ludzkie. Tę, w naszym przekonaniu dotkliwą lukę, w pewnym stopniu wypełnia książka Mirona Dolota "Execution by Hunger" (Nowy Jork - Londyn, 1985).

Książka Dolota jest opisem kolektywizacji jednej ukraińskiej wsi. Autor, jako dorastający chłopiec, przeszedł przez piekło. Był jednym z nielicznych, któremu udało się przeżyć. W swej pracy próbuje odtworzyć krok po kroku kolejne zdarzenia i osobiste przeżycia. Jest to możliwe, gdyż - jak pisze - wryły mu się one w pamięć i nigdy już ich nie zapomni. Nie zapomina się przecież piekła. Z opisu stopniowo wylania się mechanizm kolektywizacji i jego przerażające skutki. Szczegółowość, barwność i jedność opisu, a także jego autentyczność sprawiają, że mechanizm ten staje się niemal dotykalnie realny.

Na książkę Mirona Dolota zwracam uwagę Czytelników także i z innego względu. Kolektywizacja jest przykładem skutków koncentracji władzy, ekonomicznej, politycznej i środków przymusu w rękach nielicznej elity. Jest przykładem woluntaryzmu i niełiczenia się z ludzkimi potrzebami, zwyczajami i wartościami. Nie zawsze co prawda koncentracja władzy prowadzić musi do tego rodzaju zbrodni - ale przykład ten wskazuje, że prowadzić może. Jest to ostrzeżenie, a zarazem i punkt odniesienia dla idei rządów i gospodarki liberalnej, dla tych którzy odnoszą się do niej krytycznie: w żadnym przecież kraju liberalnym nie do pomyslenia był i jest ogrom tak wielkiej zbrodni, jaką w imię komunizmu, kolektywizacji i "sprawiedliwości społecznej" popełniono w ZSRR.

Książka Dolota ma jeszcze jedną zaletę. Jest to ważny przyczynek do poznania natury totalitaryzmu. Jeśli spojrzeć się na tę pracę i pod tym kątem, znajdzie się w niej wiele ciekawych i uniwersalnych spostrzeżeń. Klucz tkwi w pytaniu: jak znikoma mniejszość była w stanie skolektywizować 25 milionów gospodarstw chłopskich?

Dolot daje odpowiedź wydawałoby się paradoksalną: sami podrzynaliśmy własne gardła ...

ROZDZIAŁ I

Wyrostem w typowej ukraińskiej wiosce, w okręgu czerkaskim, w kilkaset kilometrów na południe od Kijowa, stolicy Ukrainy. Moja wioska znajdowała się na północnym brzegu rzeki Tiaszyn, jednego z wielu dopływów Dniepru – i była piękna. Na południu, za rzeką zieleniły się wzgórza. Na północy rozciągały się smolistoczarne i podzielone na pasma pól równiny. Wiosną i latem pola znikły w bezmiarze pszenicy kołyszącej się w podmuchach letniego wiatru. Jesienią odsłaniały one smolista ziemię, jak gdyby oplakującą straconą piękność. W końcu roku nowa gama kolorów. Białosć zimy przechodziła na horyzoncie pól w szaro – niebieskie, mroźne niebo.

To była duża wieś. Liczyła osiemset gospodarstw, prawie cztery tysiące ludzi. W jej centrum znajdowały się cerkiew, szkoła, sklep, budynek rady wiejskiej i dom lekarza. Pobliski plac służył jako miejsce zabaw, zebrani i jako rynek.

Tak, jak we wszystkich ukraińskich wioskach, domy w naszej wsi zgrupowane były ciasno, jeden obok drugiego. Niebrukowane ulice były bezimienne, choć każdy dom był numerowany. Wieś przecinała droga, także niebrukowana, łącząca nas ze światem.

Nasze domy były projektowane i budowane prosto. Ściany stawiano z belek i oblepiano glina. Dachy kryto słomą. Dachy z blachy cynkowej były oznaką zamożności i tylko kilka takich dachów przypominam sobie w wiosce. Większość domów miała tylko jeden pokój, który służył wszystkim celom, łącznie z gotowaniem i spaniem. Drewniane podłogi były także rzadkością. Tak jak i ściany obrzucone były twardą gliną, tworząc klepisko. Pomimo jednak, iż domy były prymitywne i żyło się w nich prosto, zwyczajnie – Isniły one czystością.

W każdym gospodarstwie znajdowały się działki na kwiaty i kilka drzew owocowych. W kurnikach trzymano kury, kaczki i gęsi. W oborach i stajniach był zazwyczaj koń, jedna lub dwie krowy, kilka świń. Pies wylegiwał się zwykle na ganku albo przy furtce.

W naszej dosyć biednej i przeludnionej wsi tylko kilku chłopów miało więcej niż 50 akrów ziemi. Żyjąc w biedzie nie byli oni jednak ani zgorzkniali, ani pozbawieni nadziei. Wiosną i latem, po ciężkim dniu pracy, młodzi ludzie gromadzili się w sąsiedztwie, na najbliższym skrzyżowaniu dróg i tańczyli, śpiewali, bawili się do późnej nocy. Rodziny odwiedzały krewnych i znajomych lub bawiły się na przyjęciach i potańcówkach, zwykle dużo jedząc i pijąc. Z powodzeniem, chociaż było to zabronione, pędzono bimbler.

Nasza wieś była mocno związana wspólnotą. Sąsiedzi zwyczajowo pomagali sobie w pracy i w innych trudnych sytuacjach życiowych. Po skończonej robocie wspólnie organizowano zabawę. Wynajęci na tę okazję akordeonista i skrzypek grali do tańca. Podawano jedzenie i częstowano wódką. Zabawa trwała aż do świtu.

Mielśmy całkowitą wolność poruszania się. Podróżowaliśmy poszukując pracy, zarobku albo dla przyjemności. Jeździliśmy do dużych miast i do sąsiednich miasteczek na jarmarki, wesela i pogrzeby. Nikt nie pytał nas o dokumenty, ani nie indagował o cel podróży. Byliśmy wolnymi ludźmi.

Gościnność była sprawą honoru. Ktokolwiek odwiedzał naszą wieś był zapraszany do domu. Częstowaliśmy gości najlepszym, czym mogliśmy, choć bywało i tak, że sami nie mieliśmy dość

jedzenia.

Pomimo, że borykaliśmy się z wieloma kłopotami życiowymi, byliśmy całkowicie wolni od strachu. Nigdy nie zamykaliśmy domów w ciągu dnia. Obcy - starzy i młodzi - mogli przybyć i wyjechać z naszej wioski bez strachu i molestowania.

Nadejście zimy witaliśmy z radością i wydaje mi się, że im srozsza była, tym większe było ożywienie, zwłaszcza wśród młodzieży. Nie było końca jeździe na łyżwach, nartach i sankach. Zima - z uwagi na ciężkie mrozy, głęboki śnieg i zamiecie, była dla wieśniaków czasem odpoczynku. Dobre tradycyjnie zbiory umożliwiały im przetrwanie. W krótkie dni i długie zimowe noce większość czasu spędzaliśmy w domach. Nikt nie skarżył się na chłód. Opału było w bród. Byliśmy zadowoleni. Po oporządzeniu inwentarza i wykonaniu innych codziennych czynności w gospodarstwie sięgaliśmy po książki, pisywaliśmy listy do rodzin lub spędzaliśmy czas na zabawie. Często oddawaliśmy się wieczornym wspominkom.

W 1929 roku zaczęły dochodzić do nas słuchy, że partia i rząd wydały dekret o kolektywizacji indywidualnych gospodarstw chłopskich. Gospodarstwa wspólnotowe : stowarzyszenia wspólnej uprawy ziemi i artele znaleźmy od dawna. Istniały one jeszcze w czasach przedrewolucyjnych. Nie były to komunistyczne wynalazki. Spółdzielnie rolnicze (takiej nazwy wtedy używano) były wolnymi stowarzyszeniami rolników. Ich celem było lepsze zaopatrzenie w narzędzia rolnicze i ziarno siewne, a także chęć pewnego uniezależnienia się od sił rynku. Rząd wspierał spółdzielnie, udzielając im kredytu. Na Ukrainie znano dwa typy spółdzielni : stowarzyszenia wspólnej uprawy ziemi (popierane przez stowarzyszenie krajowe o takiej samej nazwie) i artele. Te pierwsze były dość luźnymi organizacjami i łatwo mogły ulegać rozwiązaniu przez członków. Wspólna była tylko ziemia, praca i ciężki sprzęt rolniczy. Domy i inwentarz mogły być prywatne. Artel natomiast był spółdzielnią zrzeszającą ludzi tego samego zawodu. Członkowie arteli rolniczych łączyli swą ziemię, pracę, zwierzęta pociągowe i inne środki produkcji. Wynagradzani byli w pieniądzu i naturze, zgodnie z ilością wydatkowanej pracy. Mieszkania stanowiły własność prywatną. Zatrzymywano też na prywatne władanie krowy, owce, kozy, świnię i drób. W okresie kolektywizacji artel uznano w Związku Sowieckim za podstawową formę gospodarstw kolektywnych, wprowadzając jednocześnie nowe formy. I tak komuny rolnicze, które zgodnie z komunistyczną teorią miały być najwyższą formą organizacji pracy i życia wiejskiego, ustanowione zostały w okresie komunizmu wojennego (1918-1920). Zwykle organizowano je w majątkach byłych właścicieli ziemskich. Istotą komun była nie tylko wspólna uprawa ziemi lecz także wspólne życie w kolektywnych domach, w których znajdowały się kuchnie, łóżki itd. Członkowie komun nie mogli posiadać własności prywatnej, za wyjątkiem rzeczy osobistych. Komuny były bardzo popierane przez partię i rząd, ale zawiodły pokładane w nich nadzieje i były albo rozwiązywane, albo - w większości przypadków - przekształcane w gospodarstwa państwowe. "Radhosp" był ukraińską nazwą sowchozu - "sowieckiego hajajastwa". Zorganizowany był jak przedsiębiorstwo państwowe, zatrudniające robotników, którym płacono regularne wynagrodzenie. Robotnicy ci nie byli jednak rolnikami w pełnym tego słowa znaczeniu: nie uczestniczyli w podziale zysku ani w zarządzaniu.

W młodym państwie sowieckim wszystkie rodzaje gospodarstw kolektywnych organizowano

w sposób dobrowolny i dlatego początkowo wydawało się, że nie stanowią one poważnego zagrożenia dla rolnictwa indywidualnego. Rolnicy niejednokrotnie bywali świadkami upadków takich gospodarstw, lekcewżyli więc pogłoski o mającej nastąpić powszechnej kolektywizacji. Nie trwało to jednak długo...

W końcu grudnia 1929 roku pogłoski o przymusowej kolektywizacji stały się faktem dokonanym.

Najpierw jacyś nieznajomi ludzie zaczęli odwiedzać naszą wioskę. Wkrótce dowiedzieliśmy się, że są to oficjalni reprezentanci partii i rządu i że zostali przydzieleni do naszej wioski, aby zorganizować kolektywizację gospodarstw.

Byli to "dwudziestopięciotysięcznicy" i propagandziści. Początkowo tytuły te dziwnie brzmiały dla naszych uszu, wkrótce jednak poznaliśmy ich prawdziwe znaczenie.

W celu przeprowadzenia przymusowej kolektywizacji Komitet Centralny zmobilizował 25 tysięcy najbardziej zaufanych i aktywnych członków komunistycznej partii. My, upraszczając wymowę, nazwaliśmy ich po prostu "tysięcznikami". Po krótkim przeszkoleniu "tysięczników" skierowano do pracy po wsiach. Aby uczynić ich działanie bardziej skutecznym, wyposażono ich praktycznie w nieograniczone kompetencje. Byli bezpośrednio podporządkowani KC Komunistycznej Partii Ukrainy.

Każdemu "tysięcznikowi" towarzyszyła grupa propagandzistów, wybieranych spośród członków partii lub Komsomolu danego regionu. Tysięcznik i podlegli mu propagandziści rekrutowali się z miast - byli profesorami, nauczycielami, robotnikami z fabryk. Kiedy pojawili się w naszej wsi, niektórzy z nich próbowali nawiązać kontakt z przechodniami pytając ich i zagadując. Inni po prostu spacerowali po wsi patrząc ze zdziwieniem na wszystko, jakby nigdy przedtem nie widzieli wsi i chłopów.

Prawdę mówiąc byliśmy zdziwieni obecnością tych ludzi. Ich blade twarze i miejskie ubrania całkowicie nie pasowały do naszego wiejskiego otoczenia. Kiedy tak ostrożnie spacerowali aby nie zaśnieżyć sobie wygłancowanych butów wiedzieliśmy, że to obcy, obcy pośród swoich.

Nieznajomi, chociaż usiłowali interesować się naszym życiem, nie byli w stanie ukryć swej ignorancji. Nie znali warunków panujących na wsi. Chłopi śmiali się z nich, tak bardzo nie rozumieli naszego życia. Nasz "tysięcznik" nazywał się Zeitkin - "towarzysz Zeitkin", gwoli ścisłości. Rzecz ciekawa - poznaliśmy tylko jego nazwisko, chociaż przebywał w naszej wsi kilka miesięcy. Ale też towarzysz Zeitkin był bardziej ucieleśnieniem reżimu, niż osobą. Chociaż nikt z nas nie znał jego zawodu ani poprzedniego miejsca pracy było oczywiste, że niewiele wiedział w ogóle o życiu wsi. Nikt też nie potrafił określić jego narodowości. Mówił trochę po ukraińsku, ale z pewnością nie był Ukraińcem.

Towarzysz Zeitkin był raczej niski, miał dużą głowę osadzoną na wąskich ramionach. Nigdy nie widywaliśmy go uśmiechniętego. Zawsze wydawał się pochłonięty jakimś problemem. Mówił rzadko, ale kiedy mówił to tylko o sprawach oficjalnych, używając języka partyjnych sloganów i wyswiechtanych zwrotów. Jedynie okazjonalnie witał się z mieszkańcami wsi, a i to w sposób lakcewazący.

Wszyscy przybywający do nas przedstawiciele partii i rządu mieli przy sobie jakiś rodzaj broni. Zwykle dyskretnie ją chowali. Towarzysz Zeitkin - przeciwnie. Prawdopodobnie niepewny swej popularności we wsi, broń nosił ostentacyjnie. Nic zatem dziwnego, że bano się go od samego

początku.

Już w dniu swego przybycia towarzysz Zeitkin zaczął odwiedzać poszczególne domy. Powstało na ten temat wiele opowiadań. Jedna anegdota stała się szczególnie popularna. Jak mówiono, kiedy odwiedził stajnię w jednym z gospodarstw zdarzyło się, że klacz przejechała mu ogonem po twarzy zostawiając trochę łajna.

-Zabieraj - warknął Zeitkin - tę przekłętą krowę! - i z rozmachem kopnął klacz w nogę. Ta wierzgnęła, obalając go na ziemię. Wieszniak szybko pomógł mu stanąć na nogi. Chcąc zatrzeć niemiłe wrażenie Zeitkin zbliżył się do cielaka.

- Ładny żrebak - powiedział. Wieszniak był uprzejmym człowiekiem; nie sprostował pierwszego błędu gościa, po drugim jednak grzecznie zauważył:

-To nie zrebę... To cielę.

-Cielak czy żrebak, to nie ma znaczenia - odciął się Zeitkin - światowa rewolucja proletariacka nie będzie z tego powodu cierpieć.

Ostatnie słowa Zeitkina były jego ulubionymi słowami, chociaż w tym czasie mieszkańcy wioski nie bardzo je rozumieli. Byliśmy jednak rozbawieni, że przedstawiciel partii i rządu nie rozróżnia krów i koni.

Jednakże towarzysz Zeitkin dobrze wykonywał swą pracę. Na pamięć znał partyjne instrukcje. Podczas gdy wieszniacy opowiadali sobie historyjki o jego ignorancji, centrum wsi tętniło nowym życiem. Pośtańcy wzywali na rozmowy wybranych chłopów. Byliśmy zaciekawieni, ale i wzbierał w nas strach. Często widzieliśmy "tysięcznika" w towarzystwie wiejskich oficjeli i innych nieznanych nam ludzi, wizytujących nasze domy. Niemal codziennie pojawiali się w naszej wiosce jacyś oficerowie.

Pewnego dnia przybyli robotnicy i zainstalowali linię telefoniczną łączącą wioskę ze stolicą regionu. Tylko kilku chłopów wiedziało, co to jest telefon, ale nawet oni nie byli w stanie pojąć czemu zainstalowano go we wsi. Przybysze przy każdej okazji podkreślali, że telefon jest przejawem wielkiego potępu dokonanego na wsi przez władzę radziecką.

ROZDZIAŁ II

Na skutki obecności i działań towarzysza Zeitkina nie musieliśmy długo czekać. Pierwszy incydent zdarzył się wczesnym rankiem w bardzo mroźnym styczniu 1930 roku. Mieszkańcy wsi byli jeszcze we śnie. Piętnaście osób zostało aresztowanych. Opowiadano, że czekiczi przybyli do wsi o północy i z pomocą miejscowych, nowych władz zmusili ludzi do opuszczenia domów. Następnie wepchnięto wszystkich na ciężarówkę i wywieziono, zanim wieś przebudziła się.

Wśród aresztowanych byli najbardziej znani mieszkańcy wsi: nauczyciel, urzędnik miejskiej rady (popularna i wpływowa osoba, udzielająca porad prawnych) i właściciel sklepu. Pozostali to cieszący się dobrą opinią zwykli chłopci. Nikt z nas nie wiedział, z jakiego powodu zostali aresztowani, ani też dokąd zostali zabrani.

To było przerażające. Nasi najlepsi ludzie zostali zabrani w ciągu jednej nocy! Wieśniacy, w większości niepiśmienni, czytający z trudem, stali się jeszcze bardziej bezbronni.

Prawie natychmiast rodziny aresztowanych rolników zostały wyrzucone ze swych domów. Sam byłem świadkiem, co się stało z jedną z takich rodzin. Mieszkaliśmy niedaleko jednego z aresztowanych, Tymisza Zaporozca, którego my, dzieci, wołaliśmy Wujkiem Timiszem. Pewnego dnia, około północy, do jego domu przybyła grupa wiejskich "rezydentów" nowej władzy. Jeden z nich służbowym tonem oznajmił jego żonie, że ponieważ mąż został aresztowany jako "wróg ludu", cały jego dobytek zostaje natychmiast skonfiskowany i przechodzi na własność państwa. Zmieszana i wytracona z równowagi kobieta próbowała rozmawiać z urzędnikami: jaką to zbrodnię popełnił jej mąż, iż został ogłoszony wrogiem ludu. Ale urzędnicy nawet nie zamierzali wyjaśniać jej czegokolwiek. Powtórzyli rozkaz opuszczenia domu. Powiedziano jej także, że może wziąć ze sobą tylko rzeczy osobiste, oraz odzież swoją i dzieci. Wszystko inne ma zostawić w domu.

W tej chwili kobieta uświadomiła sobie, że urzędnicy traktują sprawę poważnie. Ze łzami w oczach błagała ich, by pozwolili jej pozostać w domu przez noc, żeby mogła przygotować rzeczy. Prosiła daremnie. Powtórzono nakaz. Kobieta zasnęła i upadła na podłogę, dzieci zaczęły płakać. Nakazano im udać się do sań, czekających przed domem. Kobieta oprzytomniała, że szlochem zaczęła tłumaczyć, że nie ma dokąd się udać. Był to ich jedyny dom, sami go budowali.

Ale nie pomogły ani łzy, ani płacz. Urzędnicy przynaglali do pośpiechu. Jeden z nich chwycił ją za ramiona. Gdy zaczęła wyrwać się z krzykiem, powalono ją i wywleczono za próg, potem wepchnięto do sań. Dwóch ludzi trzymało ją w saniach, reszta wyprowadzała dzieci. Potem wrzucono do sań jakieś przypadkowo wzięte rzeczy osobiste i sanie odjechały. Trzymana silnie przez dwóch ludzi, rozpaczając, przy akompaniamencie płaczu dzieci – tak zapamiętałem ostatni widok żony Wujka Timisza.

Później dowiedzieliśmy się, że przewieziono ich na stację kolejową i wtłoczono w specjalny pociąg towarowy, zdążający na północ. Podobny los spotkał i inne rodziny aresztowanych chłopów. Nigdy już nie usłyszeliśmy o nich.

W kilka dni po aresztowaniu piętnastu rolników odbyło się w naszej wsi zebranie. Odbyło się właśnie w domu Timiana Zaporozca. Wnętrze domu było kompletnie zmienione – zamieniono je w rodzaj świetlicy. Stało się dla nas jasne, że Timisza aresztowano, bo potrzebowano jego dużego domu.

Na zebraniu poinformowano nas, że zostanie wprowadzony nowy podział administracyjny wsi. Na razie nie budziło to naszych podejrzeń. Wieś podzielono na jednostki administracyjne, zwane setkami, dziesiątkami i piątkami.

Byłem jeszcze zbyt młody, by zdawać sobie sprawę z konsekwencji takiego podziału. Później uświadomiłem sobie, jak bardzo perfidną był pułapka. Potem nazwałem go "systemem podrzynania własnego gardła"¹.

Dzięki temu systemowi "tysięcznik" był w stanie wraz z grupą partyjnych funkcjonariuszy ustanowić kontrolę nad mieszkańcami wsi. Był też w stanie wytropić i zniszczyć jakkolwiek

1. Użyłem tego określenia dla określenia nowego systemu administracyjnego wsi, ponieważ zmuszał rolników do aktywnego udziału w kolektywizacji, która w końcu niszczyła ich samych.

opozycję wobec partyjnej polityki i wszelki sprzeciw przeciw kolektywizacji.

Nasza wieś liczyła około osmiuset gospodarstw i czterech tysięcy mieszkańców. Została podzielona na osiem setek, osiemdziesiąt dziesiątek i 160 piątek. W sumie 248 jednostek organizacyjnych. Rada Wiejska mianowała przewodniczącego każdej jednostki. Do każdej setki przydzielono jednego propagandzystę, a do każdej dziesiątki i piątki agitatora. Zwiększało to znacznie liczbę funkcjonariuszy¹. Przy każdej setce sformowano tak zwaną Komisję Zdobywania Chleba. Komisje takie były organizowane na całej Ukrainie. Początkowo tworzone je dla jednej wsi. Później, w początkach kolektywizacji, komisje organizowano i w niższych jednostkach organizacyjnych, na przykład w setkach. Komisje były kontrolowane przez partię i organizowano je w jednym celu - zebrania wyznaczonych kwot zboża. Następnie, kiedy ogłoszona została polityka "likwidacji kulaków jako klasy"², czyli całkowita kolektywizacja, komisje te stały się główną siłą w organizacji kolektywnych gospodarstw i wywłaszczania kulaków. Faktycznie stały się arbitralnymi rządcami wsi.

Komisja zdobywania chleba składała się z 10 lub więcej członków, zwiększając liczbę wiejskich funkcjonariuszy o 80 (do 576). Każdej setce przydzielono też trzech stałych, mianowanych przedstawicieli milicji. W sumie było ich 24. Ludzie ci byli ważnymi przedstawicielami władzy, ponieważ faktycznie wykonywali funkcje milicji lokalnej. Mogli oni dokonywać aresztowań z pominięciem formalności prawnych. Milicjanci zwiększyli ogólną liczbę funkcjonariuszy do 600 (75 w każdej setce gospodarstw). Tak więc każde 100 gospodarstw kontrolowało 75 funkcjonariuszy. Liczba ta byłaby jeszcze większa, gdybyśmy dodali 35 członków wiejskiej rady (sowietu) i 17 oficjeli kołchozowych. Ogólna liczba wzrosłaby wówczas do 652 funkcjonariuszy. Licząc inaczej - jeden funkcjonariusz przypadał na 6 mieszkańców...

Większość osób mianowanych na poszczególne stanowiska była wybierana spośród zwykłych rolników, którzy znaleźli się w ten sposób w bardzo dwuznacznej sytuacji. Nie ulega wątpliwości, że nienawidzili oni kolektywnego rolnictwa, jednakże stali się instrumentem jego realizacji. Tak jak żołnierze zostali powołani do wykonania zadania. Robili to, co im kazano. Ludzie pełniący jakiegokolwiek funkcje w tej nowej organizacji i jej instytucjach stawali się oficjalnymi przedstawicielami władzy, bez

1. Propagandziści i agitatorzy wygłaszali na zebraniach slogany oraz podsłuchiwali i denuncjowali

2. Ukraińskie słowo "kurkul" (rosyjskie kulak) było oficjalnie nazwą wiejskiego lichwiarza w Związku Radzieckim. Jakiegokolwiek włościan, który zatrudniał siłę roboczą, posiadał ciężki sprzęt rolniczy albo taki sprzęt wynajmował, zawierał umowy z innymi gospodarstwami lub wydierzał dla zysku ziemię - był pletnowany jako "kurkul". Takie określenie przyjęło się na Zachodzie i dlatego mówi się tam, że "kurkul" to bogaty lub zamożny włościan. Takie tłumaczenie lub interpretacja może prowadzić do nieporozumień, gdyż komunisti stosowali tę etykietkę w sposób dyskryminujący do wszystkich mieszkańców wsi, nawet do biednych chłopów. Podczas kolektywizacji etykieta ta była bardzo szeroko stosowana i stała się epitetem używanym wobec tych rolników, którzy odmówili przylączenia się do gospodarstw kolektywnych. Wdrożona przez partię w 1929 roku polityka "likwidacji kulaków jako klasy" spowodowała likwidację milionów chłopów określanych przez partię, jej propagandystów i agitatorów jako "kulacy". Część z nich po prostu zamordowano, inni zgineli podczas głodu lat 1932-33 na Ukrainie, inni z kolei zostali deportowani do "poprawczych obozów pracy" lub do obozów koncentracyjnych. Etykietka "kurkul" (kulak) określano każdego, nawet ludzi niezwiązanych z rolnictwem, którzy okazywali najmniejsze nawet oznaki niezadowolenia lub opozycję wobec polityki rolnej partii. Posiadanie jednoizbowego domu, krowy, kilku kurczaków prowadziło do określenia właściciela jako kulaka ("kurkula"). Przyp. autora.

względem na to, czy byli pracownikami państwowymi, czy nie. Tytuł "przedstawiciel władzy" dawał ogromną, prawie nieograniczoną władzę osobie, która go uzyskała. Przedstawiciel organu władzy był wyposażony w nieograniczone kompetencje. Tak więc o ile wszelka styczność ze światem biurokracji stawała się przerażająca dla zwykłego mieszkańca wsi, to przynależność do władzy dawała tej samej osobie ogromne korzyści.

Zwykły rolnik stawał się przedstawicielem władzy gdy tylko powołany został w skład jakiejś komisji, komitetu, specjalnej brygady czy grupy, zorganizowanej w celu wykonywania wyznaczonych przez partię zadań. Według komunistów mianowanie kogoś przedstawicielem władzy radzieckiej było wielkim wyróżnieniem. Odmowa przyjęcia tego zaszczytu była karygodną oznaką nielojalności wobec państwa radzieckiego - obraza, która nie mogła być tolerowana. Ten, kto odmówił przyjęcia nominacji lub sprzeciwiał się polityce państwa, ponosił surową karę jako podejrzany o wrogą wobec ludu działalność. Polityka ta była realizowana tak rygorystycznie, że tylko nieliczni ośmielali się odrzucić mianowanie lub okazywać niezadowolenie.

Przedstawiciel władzy, aby mógł zadać od innych wypełniania nałożonych mu przez państwo obowiązków, sam musiał świecić przykładem. W przeciwnym wypadku byłby oskarżony o odmowę posłuszeństwa partii i rządowi. Ponieważ zadaniem nowomianowanych przedstawicieli władzy było reprezentowanie partii i prowadzenie kolektywizacji, a także dostarczanie państwu produktów rolnych, musieli oni pierwsi wstąpić do kolektywnych gospodarstw i dostarczać wyznaczone ilości produktów...

Wcześniej władzą we wsi była rada wiejska, wybierana na ogólnym wiejskim zebraniu, która następnie wyłaniała komitet wykonawczy z przewodniczącym i sekretarzem na czele. W tym czasie organizacje polityczne: komunistyczna partia i komsomoł nie odgrywały jeszcze znaczącej roli na wsi. Tylko bardzo nieliczni byli członkami tych organizacji.

Ten rodzaj samorządu został jednak zniszczony wraz z rozpoczęciem totalnej kolektywizacji. Zarówno ogólne wiejskie zebrania, jak i rada wiejska utraciły swoją władzę na rzecz komórek partyjnych, których szeregi na wsi szybko wzrastały. Zastępując radę wiejską, komórka partyjna stała się panem wsi. W rezultacie stara rada i ogólne zebranie wsi stały się po prostu bezwolnym narzędziem partii. Odtąd tylko członkowie partii lub komsomołu, jako osoby o niekwestionowanej lojalności wobec partii i rządu, mogły być wybierane do rady i wszystkich jej organów.

Kiedy przybył do nas "tysięcznik" Zeitlin, zorganizowano w naszej wsi dwie instytucje: Sekcję Specjalną i Inspekcję Robotniczo-Chłopską. Obie siały grozę.

Sekcja Specjalna była filią GPU¹, tajnej policji politycznej. Oficjalnie Sekcję Specjalną reprezentował tylko jeden funkcjonariusz, mający swe biuro w budynku rady wiejskiej i zawsze

1. GPU - Gosudarstwiennieje Politiczeskoje Uprawienie (Państwowy Zarząd Polityczny) - nazwa radzieckiej tajnej policji, która zastąpiła "Czeka" w lutym 1922 roku. W 1923 roku GPU przemianowano na OGPU (Zjednoczony Państwowy Zarząd Polityczny), lecz nazwa GPU była nadal powszechnie używana. W 1934 roku GPU włączono do NKWD / Ludowy Komisariat Spraw Wewnętrznych. W 1941 roku powstał Ludowy Komisariat Bezpieczeństwa Państwowego (NKGB). Na początku wojny z Niemcami NKGB powróciło do NKWD. Następnie NKWD włączona została do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, a w marcu 1954 roku z sowieckiego MSW (MWD) znów wydzielono KGB.

ubrany w mundur GPU. Jednakże, chociaż rekrutacja agentów odbywała się za zamkniętymi drzwiami a oni sami pozostawali nieznani, było ogólnie wiadome, że jeden tajny agent ulokowany był w każdej setce, aby inwigilować.

Inspekcja Robotniczo-Chłopska była lokalną filią Komisariatu o tej samej nazwie. Dzisiaj jest on znany jako Komisariat Kontroli Państwowej. Zadaniem Komisariatu była kontrola działalności organów państwa oraz lojalności i efektywności pracy funkcjonariuszy i pracowników państwowych. W okresie kolektywizacji partia i rząd wyznaczyły Komisariatowi zadanie kontroli realizacji ich polityki.

Inspekcja Robotniczo-Chłopska była także reprezentowana w naszej wsi przez jedną osobę. Asystowała jej 5-cio osobowa komisja, której członkowie zostali mianowani spośród mieszkańców wsi. Przedstawiciel Komisji utrzymywał także swych własnych tajnych agentów, którzy szpiegowali miejscowych oficjeli. Kiedy dopatrzył się on jakichś niezgodności z linią partii, spełniał zarówno rolę arbitra, rozsądzającego, jak i sędziego ferującego wyrok. Jego decyzje były nieodwołalne.

Aby wprowadzić w życie politykę kolektywizacji, partia i rząd zmobilizowały cały centralny i lokalny aparat władzy: partyjny aparat propagandowy, siły zbrojne, milicję i służbę bezpieczeństwa, a także takie instytucje i organizacje, jak Komsomół, Komitety Biedoty, pionierzy. Komsomół, zorganizowany w 1918 roku, przeznaczony był dla osób w wieku 14-26 lat; uważany za "przyszłość partii" zajmował drugie miejsce w hierarchii sowieckich organizacji politycznych; komsomolcy byli wiernymi narzędziami w rękach partii. W naszej wsi przywódcę miejscowego komsomolu przysłano z rejonu.

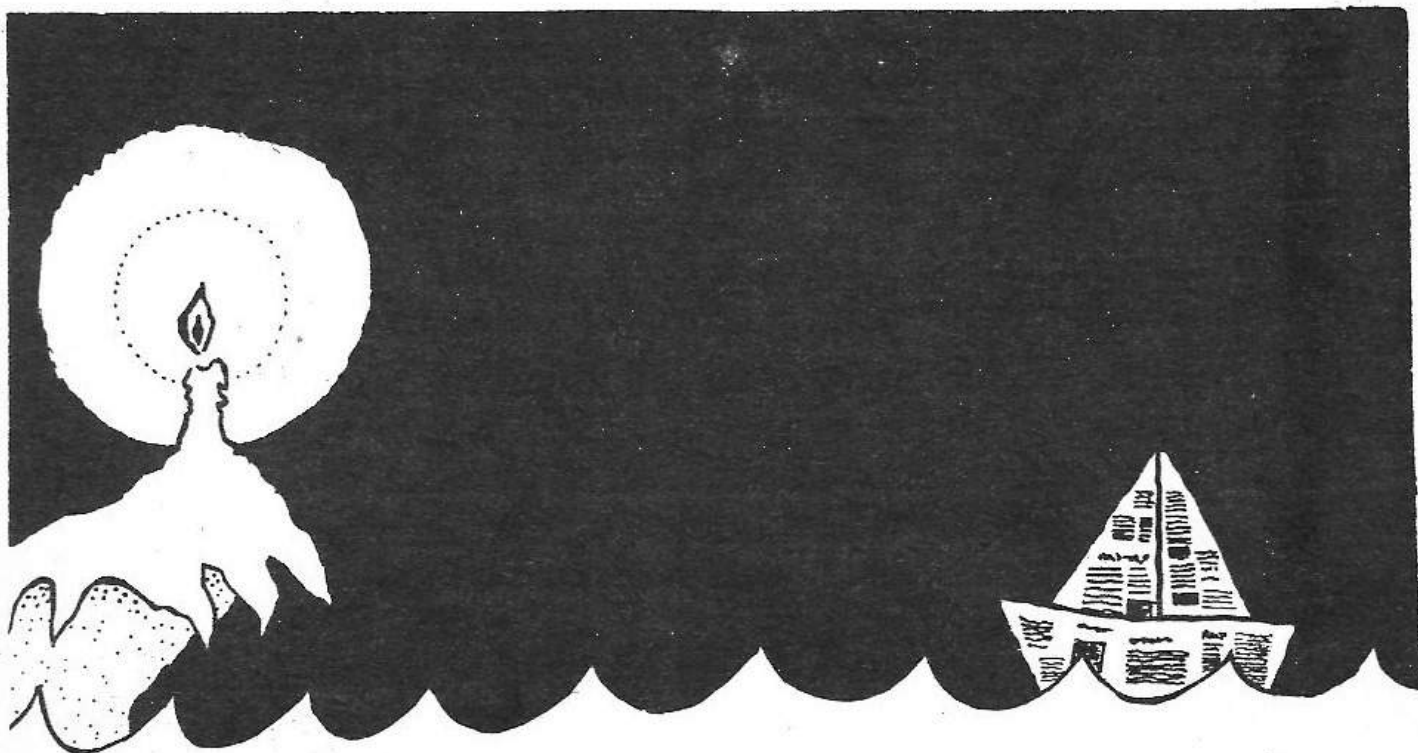
Pionierzy byli organizacją polityczną dzieci, w wieku 8-14 lat. Dzieci te służyły najczęściej za posłańców i donosicieli. Dobrze znany przypadek Pawlika Morozowa jest typowym przykładem, jak partia posługiwała się dziećmi do swych brudnych celów. Syn biednych chłopów, Pawlik mieszkał w zauralskiej wsi. Ten 14-letni chłopiec stał się dosłownie z dnia na dzień bohaterem Związku Radzieckiego, kiedy to doniósł władzom, że jego ojciec i kilku sąsiadów ukrywają przed państwem żywność. Wszyscy oskarżeni przez Pawlika zostali aresztowani, w tym jego ojciec, i zniknęli bez śladu. Samego Pawlika zabili potem mieszkańcy wsi, w tym jego rodzony wuj Imię Pawlika Morozowa nadano w Związku Radzieckim miejscowościom, placom, ulicom, szkołom Jego historia wyeksponowana została w encyklopediach...

Partia zachęcała dzieci, by denuncjowały swe rodziny i sąsiadów, gdy ci przeciwstawiają się w jakikolwiek sposób partii. Denuncjacja taka określana była jako czyn bohaterski.

"Komnezam" był skrótem ukraińskiej nazwy "komitetu biedoty". Komitety takie organizowane były w Rosji początkowo latem 1918 roku przez lokalne komitety partyjne. Ich członkami byli robotnicy rolni i biedni chłopci. Na Ukrainie rozpoczęto ich organizowanie w maju 1920 roku, kiedy komuniści po raz trzeci najechali Ukrainę. Podczas gdy w Rosji "kombiedy" zostały rozwiązane w listopadzie 1918 roku (decyzją IV Ogólnorosyjskiego Zjazdu Rad), na Ukrainie przetrwały one aż do 1933 roku i były instrumentem brutalnej polityki partii. "Komnezam" stał się ważnym rysem każdej ukraińskiej wioski; jego cele były dwojakie: zapoczątkowanie rewolucji na wsi i pomoc w realizacji dostaw żywności dla państwa. Na Ukrainie komuniści posłużyli się tymi komitetami także jako narzędziem

kolektywizacji rolnictwa. Nazywano je "organami dyktatury proletariatu" na wsi ukraińskiej.

Ta monstrualna, bezwzględna machina kolektywizacji została wprowadzona w ruch. Była kierowana przez ludzi i miażdżyła ludzi. Była bezlitosna i chciwa. Raz puszczona w ruch - nie dała się już zatrzymać i pochłaniała coraz więcej ofiar. Wiejskie "piątki", "dziesiątki" i "setki", z ich komisjami, propagandzistami, agitatorami, milicjantami, komsomolcami, pionierami i komnezami, ogólnymi zebraniami wiejskimi i radami wiejskimi, komitetami wykonawczymi - wszystko to były tryby tej okrutnej, zbrodniczej maszyny, którą kierowała partia komunistyczna i która pochłonięła miliony ofiar.



Ustęp końcowy mego pierwszego utworu, za który wyleciałem ze studiów.

Taką w sobie miała parę,
 ze drzał przed nią kazdy,
 a reakcji zaplutego karta
 niewątpliwie w proch by starta,
 traf chciał jednak, że umarta.
 Pochowano więc w mogile
 zasłużoną Widerszpilę.
 Pogrzeb miała jak się patrzy,
 sierp i młot na grobie na krzyż,
 mów zaś było pięknych tyle,
 że splakała się w mogile.
 Lecz gdy się skończyła pompa,
 cicho ktoś przez cmentarz stapa
 i przystaje tuż przed grobem.
 Pewnie kochał tę osobę,
 bo łza spływa mu po wargach,
 piers zaś targa cicha skarga.
 Tak nad grobem Widerszpili
 cicho kwili Dzugaszwili.

Janusz Szpotanski

W roku 1964, z okazji zbliżającego się dwudziestolecia PRL-u, idąc za wzorem Czerwonych, którzy - jak wiadomo - zawsze dla uczczenia swych świąt organizują akademie "ku czci", postanowiłem i ja taką akademię urządzić dla grona moich znajomych. W tym celu napisałem kilka utworów (potem weszły w skład nie planowanej jeszcze wówczas "Opery"). Były to, o ile dobrze pamiętam, "Drugi hymn cichych", "Aria Strzelczykowskiego", "Pieśń Nowej Klasy" i jeszcze coś, już nie pamiętam. Akademia odbyła się, oczywiście 22 lipca, a same utwory zyskały niespodziewanie szalony aplauz publiczności, która zaczęła się ode mnie domagać bym nie poprzestał na tym, lecz napisał dalsze teksty, które złożyłyby się w końcu właśnie w rodzaj opery; inaczej mówiąc, bym idąc śladem Bogusławskiego, autora "Krakowiaków i Górali", stworzył dzieło pod tytułem "Cisi i gęgacze". Cóż było robić? Przystąpiłem do pracy. Początkowo szło powoli, ale w pewnym momencie "bania z poezją" rozbiła się i dosłownie w ciągu tygodnia napisałem całą resztę. Od tej pory operę wykonywałem na rożnych spotkaniach towarzyskich. W środowisku intelektualnym i literackim

Warszawy cieszyła się ona niesłychanym powodzeniem, tak że byłem po prostu rozrywany: co chwila ktoś mnie zapraszał, zebym przyszedł i zaprezentował mój utwór.

Na jednym z takich spotkań poznałem Ninę Karsow i Szymona Szechtera. Moja opera spodobała się im do tego stopnia, że postanowili urządzić kolejne spotkanie, na którym planowali dokonać jej nagrania na magnetofon. W tym mniej więcej czasie rzecz była już głośna, przynajmniej na tyle, że "Wiadomości londyńskie" doniosły, iż po Warszawie krąży szopka satyryczna nieznanego autora pt. "Cisi i gęgacze" która cieszy się olbrzymim powodzeniem. Zresztą sam zacząłem odczuwać, że atmosfera wokół mnie zagaściła się: wiele oznak wskazywało, że utworem tym poza wdzięczną publicznością interesują się również władze bezpieczeństwa. Mimo to jednak nic poważniejszego jeszcze mi wtedy nie groziło. Bo może oni znali to już z jakichś przyjęć, ale z całą pewnością nie mieli w rękach pełnego tekstu. Zdobyli go, jak to na ogół bywa, zupełnie przypadkowo.

Było to tak: któregoś dnia, kompletnie bez forsy a jednocześnie oczekując na wypłacenie mi jakiegoś honorarium z PIW-u, udałem się do kawiarni Związku Literatów, by spotkać tam jakichś znajomych, którzy postawiliby mi kawę. Nie miałem bowiem nawet tych mizernych drobnych kwot, zeby zafundować sobie ową małą, czarną poranną kawę, do której byłem tak przyzwyczajony i przywiązany. No i rzeczywiście, ledwo się tam zjawiłem zaraz natknąłem się na grupę młodych poetów, którzy ucieszywszy się z tego spotkania natychmiast zaprosili mnie do swego stolika. Po pewnym czasie, jak na młodych poetów przystało, doszli oni do wniosku, że spotkanie nasze nie powinno jednak skończyć się na małej kawie, lecz co najmniej na małej wódce. Powiedziałem im: "No, moi drodzy, ja bardzo pochwalam a nawet popieram tę myśl, lecz co do mnie, jestem bez grosza, więc się do tego nie dołożę". "Ach, nie - oni na to - Szpocie! Jesteś naszym gościem! Wszystko zakupimy sami i pojedziemy do mieszkania jednego z naszych kolegów". Tak też się stało. Ponieważ panowała wówczas moda na Hemingwaya, młodzi poeci grali rolę silnych mężczyzn, toteż zamiast wódki zakupili spirytus. Jednakże, jak przyszło co do czego, to okazało się, że spirytusu to oni pić nie umieją, ja natomiast - doskonale, co zresztą (nawiasem mówiąc) można wydedukować z tekstu "Carycy". (Późniejszy, świetny utwór J. Szpotkańskiego - przyp. redakcji) Otóż spirytus pije się w ten sposób, że po wchłonięciu kieliszka z jego zawartością wydaje się ow charakterystyczny chuch, zeby nie poparzyć sobie języka i jamy ustnej. O tym elementarnym sposobie nie mieli oni zielonego pojęcia, a spirytus ma poza tym taką jeszcze właściwość, że działa uderzeniowo, co znaczy, że kiedy się go pije człowiekowi wydaje się, że nic go nie bierze, że cały czas jest trzeźwy, a później następuje nagle to słynne spirytusowe uderzenie, po którym na ogół całkowicie traci się świadomość, spada pod stół i budzi dopiero następnego dnia z potwornym bólem głowy. Tym razem jednak nie doszło do tego: oni się dokądś spieszyli, więc nie siedzieliśmy w tym mieszkaniu do oporu, lecz w jakimś momencie wyszliśmy stamtąd na ulicę. Na rogu pożegnałem się z nimi i odtąd wszystko już, do dzisiejszego dnia, rysuje mi się wyłącznie w formie takich większych lub mniejszych plam.

Głównie były to plamy szaro-niebieskie, pod którymi, jak nietrudno się domysleć, kolejno kryli się milicjanci, radiowóz i komisariat. Na komisariacie wtrącono mnie tradycyjnie do takiego

wielosobowego lochu, a gdy następnego dnia obudziłem się, pierwsze, co dotarło do moich uszu, to były wymawiane przez wszystkich dookoła jakieś cyfry, których znaczenia zupełnie nie pojmowałem: 2-5-9, 7-5, 8-4 itp. Oczywiście, jak się wkrótce dowiedziałem, były to swoista konwencja wypowiadanie nazwy artykułów kodeksu karnego. W pewnym momencie jeden z moich towarzyszy niedoli, jakiś złodziejasek czy chul, zapytał mnie: "No a ty za co właściwie siedzisz?". Odpowiedziałem mu, zgodnie z prawdą, że miałem zatarg z milicjantem. Na co on znowu: "A czy spadła mu przy tym czapka?". Ja: "No, nie pamiętam". Na co on: "No, bo jeśli spadła - pięć, a jeśli nie spadła to minimum trzy - z bomby". Wtedy właśnie po raz pierwszy dowiedziałem się o istnieniu trybu przyspieszonego, to znaczy że można zasadzić delikwenta i posadzić niemal bezpośrednio po samym zejściu, bez całego postępowania przygotowawczego, bez adwokata, na podstawie zeznań wyłącznie świadków oskarżenia, czyli - zazwyczaj - milicjantów. Nie wróżyło to niczego dobrego. Pomyślałem sobie: "Ładna historia! Niezłe perspektywy"... No i rzeczywiście, po pewnym czasie wzywają mnie na przesłuchanie, które, jak wiadomo, zawsze zaczyna się od pytań o personalia, z których jedno, poniekąd najważniejsze, dotyczy wykonywanej profesji. Odpowiadam na nie: "Literat". Na to druga z przesłuchujących mnie dam podnosi na mnie zgorszony wzrok i kiwając z politowaniem głową powiada: "Literat! A takich plugawych słów używa!". Na co ja: "A, jakich to? Jakich?" Na co ona znów: "Mnie to nawet przez gardło nie przejdzie". (Można to tutaj dygresji wtrącić, że prawie identycznego sformułowania użył później Jan Szydłak polemizując w Sejmie z Jerzym Zawieyskim, który stał w mojej obronie. Szydłak mówił tam mniej więcej tak: "Mnie przez gardło nie przeszedł by ten tekst "Operry". Wstydzę się i nie mogę ustami swymi powtórzyć pornograficznych, płynących z dna rynsztoku ulicy słów, których używa Szpotkański dla określenia narodu, władzy i partii").

No, ale wracając do mojej historii, ja nie ustępuję i domagam się, by mi te "plugawe słowa" mimo wszystko odczytano. No i ona, w odróżnieniu do Szydłaka, który o odczytanie stosownych fragmentów "Operry" zwrócił się do Zawieyskiego bo sam, jak twierdził, nie był w stanie tego zrobić, zaczęła w końcu własnymi ustami cytować. A stało tam mniej więcej tak: "Wtedy powiedział do mnie (tzn. niby ja do tego milicjanta): "Ty ch..., własna matka powinna się ciebie wyrzec, że wysługujesz się temu ch... Gomułce!"

Więc ja usłyszawszy to, mówię: "Proszę pani, to jest zupełnie niemożliwe, zebym ja coś takiego powiedział, jestem literatem, jak pani wie, człowiekiem kulturalnym, ja prawdopodobnie mówiłem po angielsku, pewnie zadawałem pytanie "who is who", a on to niewłaściwie zrozumiał"... Ale o co tutaj tak naprawdę chodzi? Bo co do mnie, to ja absolutnie nic nie pamiętam z owego zajścia, wobec czego odmawiam na razie wszelkich zeznań, a jedynie co mogę powiedzieć to to, że kompletnie nie pojmuję, w jaki sposób znalazłem się w więzieniu. To na pewno jest wynik jakiegoś nieprawdopodobnego nieporozumienia. No a co pani sądzi? Co będzie dalej? Na co ona: "To się dopiero okaże: albo będzie pan sądzony w trybie przyspieszonym, to znaczy zaraz się pana zawiezie do sądu i tam osadzi, albo wytoczy się panu normalną sprawę, a wtedy oczywiście będzie pan odpowiadał z wolnej stopy"...

Po przesłuchaniu sprowadzają mnie z powrotem do łóżka, lecz nie na długo, bo wkrótce

znów zjawiała się moja dama w towarzystwie dwóch eleganckich panów, w których ja nieomylnie rozpoznaje funkcjonariuszy wydziału śledczego i MSW, i oświadcza mi: "Jedziemy do pana na rewizję". "Na rewizję?!" - ja na to - "Na jaką rewizję? Przecież jestem podejrzany o obraze milicjanta, więc jaki związek może z tym mieć rewizja w moim mieszkaniu?". "Z tym może i nie ma - ona na to -"na pewno jednak ma z tym, że niezależnie od podejrzenia o obraze milicjanta ciąży jeszcze na panu podejrzenie, że przechowuje pan w domu przedmioty pochodzące z przestępstwa". "Przestępstwa?" - ja na to. - "Jakiego znów przestępstwa?". Ale ona nie zamierza już dalej ze mną dyskutować, tylko wręcza mi prokuratorski nakaz rewizji, czym praktycznie zamyka mi usta. No i jedziemy. Gdy tak jedziemy ja uświadamiam sobie, że to jednak zupełny już kłops, albowiem moja opera, przepisana na maszynie, leży w tekturowej teczce na moim biurku - po prostu na samym wierzchu. Wchodzimy wreszcie do mieszkania, oni rozpoczynają rewizję, i jak to bywa w złych komediach szukają wszędzie, tylko nie na biurku. Buszują w szafie, wertują książki, zaglądają do łózka. Wreszcie, kiedy już wszystko sprawdzili, sięgają po tę nieszczęsną teczkę. Następuje moment podpisania protokołu rewizji. W dokumencie tym nie widzę jednak żadnej wzmianki, że cokolwiek znaleziono i zakwestionowano, więc podpisuję. Odjeżdżamy.

Następnego dnia wiozą mnie do prokuratora, który daje mi sankcję. Na odsiedzenie sankcji wiozą mnie do więzienia w Białolecie, gdzie na "dzień dobry" znów rozpoczyna się ów rytuał z personaliami, to znaczy trzeba odpowiadać na listę pytań podstawowych, w tym na słynne pytanie o zawód. Znów więc z ust moich pada odpowiedź: "Literat". Na to przyjmujący mnie w rejestr więźniów oficer służby więziennej odzywa się w te słowa: "Ach, jaka szkoda że zjawia się pan tak późno!. Dopiero co mieliśmy tu pana kolegę, pana Iredyńskiego (niestety, Iredyński nie przebywał tam za "politykę" - przyp, redakcji), to taki sympatyczny człowiek, no ale niestety nie ma go już, więc nie spotkają się panowie!". To jego serdeczne przywitanie nie było właściwie niczym dziwnym. Bo to istotnie musiała być dla nich sensacja: więzienie, do którego przywożą na ogół chuliganów albo złodziejaszków, zaczyna nagle gościć ludzi pióra - najpierw poetę Iredyńskiego, teraz literata Szpotańskiego. Toteż po dwóch dniach siedzenia w celi zbiorowej wzywają mnie i proponują: "Co pan będzie siedział stale pod kluczem. Proponujemy panu, by pracował pan w więziennej księgowości. Będzie pan miał otwartą celę, chodził sobie na telewizję itp.". Ja na to: "Nie mam nic przeciwko temu, chyba, że stawiacie panowie jakieś warunki". "Alez skąd - oni na to - żadnych warunków". No to się zgodziłem i już poczynawszy od trzeciego dnia zacząłem pracować w tej księgowości, lecz nade wszystko uczęszczać na telewizję, nawiązywać rozliczne kontakty i znajomości, spacerować do woli.

W tym miejscu warto opowiedzieć jeszcze o takiej rzeczy: otóż kiedy siedziałem była akurat wiosna i wypadł 1 maja. I gdy oglądałem telewizję dowiaduję się, iż słynna książka generała Moczara "Barwy walki" została właśnie zaadaptowana dla potrzeb widowiskowych i zaprezentowana na pl. Defilad w formie ... baletu. Wiadomość ta szalenie podzielała mi na wyobraźnię. Wizja baletowych pedałów poubieranych w mundury żołnierzy Ludowego Wojska Polskiego, hopsających i wyjących partyzanckie piosenki w stylu "Dziś do ciebie przyjść nie mogę" była do tego stopnia elektryzująca i pobudzająca, że z czasem zainspirowała mnie do stworzenia kolejnej opery. Zacząłem ją pisać

zaraz po wyjściu z więzienia, nie dokończyłem jednak nigdy, powstały zaledwie fragmenty, które w późniejszych wydaniach weszły w skład "Cichych i gęgaczy". Ów pierwotny pomysł, który zaświtał mi w głowie jeszcze w więzieniu pod wpływem wiadomości o balecie Moczara, był taki: sława, jaką zdobywa autor "Barw Walki" po sukcesie na pl. Defilad staje się przyczyną straszliwej zawiści Gnoma (czyli Gomulki), który postanawia go przebić pisząc z kolei ...operę, a następnie polecając ją wystawić na ulicach Warszawy z jeszcze większym przepychem. Opera Gnoma miała nosić tytuł "Targowica" a jej tematem była, z jednej strony, zdradziecka postawa reakcyjnego i ciemnego kleru, a z drugiej - bezkompromisowa z nim walka szlachetnych i postępowych czerwonych. Jak się nie trudno domysleć, temat opery Gnoma wiązał się z niedawną sprawą listu biskupów niemieckich, który tak straszliwie rozsierdził Gomulkę. Ale moja opera nie ograniczała się wyłącznie do przedstawienia opery Gnoma i okoliczności jej wystawienia na ulicach Warszawy. To przewidziane było dopiero w trzecim akcie, to miało być dopiero ukoronowaniem i pointą pewnej akcji, która rozgrywała się w pierwszych dwóch aktach. Otóż akt pierwszy, zatytułowany "W pałacach Gnoma" miał rozgrywać się w więzieniach i ukazywać panujące tam nastroje. Ponieważ cała rzecz dzieje się w przededniu Millenium, wszyscy więźniowie spodziewają się amnestii. Pod koniec aktu okazuje się jednak, że nadzieja ta się nie spełnia: naczelnik więzienia oświadcza, że żadnej amnestii nie będzie, natomiast łaskawość władz przejawia się w tym, że więźniowie pod jego batutą odśpiewują specjalnie dla niego napisane oratorium "Gnom".

Drugi akt opery rozgrywać się miał "w pałacach czerwonych" (taki też był tytuł tego aktu) i przedstawiać różne, znane wówczas osobistości partyjne, które namawiają Gnoma, by napisał dla nich operę. No i wreszcie akt trzeci, "Targowica" (ten tytuł był też tytułem całej opery) najpierw miał przedstawiać polowanie, jakie w owym czasie urządziły władze na podróżujący po Polsce, z okazji Millenium, święty obraz z Częstochowy, a następnie zwycięski festyn uliczny w stolicy, którego szczytowym punktem miało być właśnie prawykonanie "Targowicy", - wielkiego dzieła Gnoma, bezwzględnie i ostatecznie rozprawiającego się z brudzącym, reakcyjnym klerem. Muzyczny pomysł tej części polegał na tym, że czerwoni i cisi śpiewają na melodie liturgiczne (Gnom na przykład swą arię "A obraz cudowny, co wzburzyć miał lud Plandeka przykryje i skończy się cud" ze słynnym refrenem: "Ja nie, ja nie, ja nie przebaczę, Pałami zaraz ich uraczę" śpiewa na melodie "Godzinek") natomiast reakcyjny kler - na melodie pieśni rewolucyjnych (np. na melodie "Na barykady ludu roboczy" śpiewało: "Na kazalnicy księza prałaci, Cudowny obraz do góry wzniesi!").

Tyle więc o tej drugiej, niedokończonej nigdy operze, której pomysł zrodził się w więzieniu. Teraz możemy jechać dalej.

No więc, gdy tylko w tym więzieniu się znalazłem, zaczęły się różne próby, aby mnie stamtąd wyciągnąć. Jedną z nich podjęli moi znajomi ze środowiska szachowego. Jak wiecie, sporą część swego życia poświęciłem grze w szachy, a nawet zdobyłem w tej dziedzinie tytuł mistrzowski. Nic też dziwnego, że miałem w tym środowisku znajomych, wiernych kibiców, a nawet wielbicieli. Nie zdawałem sobie jednak sprawy, że jest wśród nich pewien bardzo wysoko postawiony pułkownik milicji. Otóż moi przyjaciele szachiści udali się właśnie do niego z prośbą o interwencję w mojej sprawie. Powiedzieli mu, że miałem zatarg z milicjantem. "O, to głupstwo - rzekł pułkownik -

Nawet gdyby go dźgnął nożem, z dziecinną łatwością wyciągnę go stamtąd w ciągu 24 godzin. Przyjdźcie do mnie jutro". Kiedy jednak szachiści przybyli następnego dnia o oznaczonej porze, pułkownik rozłożył ręce i powiedział: "Moi drodzy, sprawa jest w gestii MSW. Ja nic nie mogę zrobić".

Z więzienia udało mi się wydostać na wolną stopę dopiero po dwóch miesiącach, dzięki stosunkom mojego adwokata. Gdy tylko na tej "wolnej stopie" się znalazłem, od razu powiedziałem sobie, że teraz to już tak łatwo Czerwony ze mną nie zapajacuje i bardzo będzie się musiał natrudzić, żeby mnie z powrotem zagnać do kozy, choćby jakąś grzywnę wydrzeć. Cóż zrobiłem? Otóż napisałem do sądu pismo, w którym postawiłem wniosek o powołanie świadków obrony, na nich zaś wyznaczyłem kilku najbardziej zajadłych wówczas Czerwonych, między innymi Jerzego Putramenta, Janusza Wilhelmi i Andrzeja Lama. Sąd oczywiście odrzucił ten wniosek, co w prawniczym kancelaryjnym języku wyrażone zostało mniej więcej w ten sposób: "Odrzucić wniosek o powołanie świadków z tej i tej strony protokołu". Formuła ta okazała się dla mnie zbawienna. Albowiem gdy maszynistka przepisywała ten protokół na maszynie, tak się jakoś dziwnie a dla mnie szczęśliwie złożyło, że na wyszczególnionej przez sąd stronie znalazły się nazwiska zaledwie kilku ostatnich świadków obrony, których powołałem, podczas gdy wiadoma trójka asów, czyli Put, Wilhelmi i Lam znalazła się na stronie następnej, a więc nie podlegającej surowemu zastrzeżeniu sądu. W ten sposób, dzięki Opatrzności wcielonej tym razem w biurokrację, moje pierwsze posunięcie obronne zwieńczone zostało sukcesem: sąd mimowolnie uznał wyjątkowo niewygodnych dla siebie świadków. Jak się zresztą miało okazać, zasadniczą zaletą – dla mnie, dla sądu zaś wadą – tych świadków wcale nie była ich pozycja polityczno-społeczna, lecz taka mianowicie cecha, iż żadnemu z nich ani śniło się przychodzić na rozprawę, i to, znów, nie ze względu na moją osobę, lecz po prostu z braku czasu tudzież totalnego "olewnictwa". Tak więc sprawa moja była wciąż odraczana.

Wreszcie rozzłoszczony sędzia, który ją prowadził, polecił doprowadzić ich przez milicję. Jednakże i to na nic się zdało, natomiast w aktach sprawy znalazła się taka notatka: "Funkcjonariusze MO nie mogli doprowadzić na rozprawę świadka Janusza Wilhelmi z uwagi na to, iż w wyznaczonym dniu o godzinie 6 rano nie zastali go w zamieszkiwanym przez niego lokalu". W tej sytuacji zarządzono, że pierwsze posiedzenie, do którego wciąż nie mogło dojść z powodu chronicznego niestawiennictwa świadków obrony, odbędzie się bez ich udziału; i tę rafa udało mi się jednak sprytnie wyminąć dzięki sprzyjającym okolicznościom. Otóż wyznając zasadę wyrażoną lapidarnie w przysłowiu "Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje" w wyznaczonym dniu udałem się do sądu odpowiednio wcześniej, by znaleźć salę, na której miałem być sądzony, i w ogóle by się jakoś do tej rozgrywki przygotować psychicznie. Gdy dotarłem tam w końcu, na drzwiach zastałem kartkę z zawiadomieniem, że moja sprawa przeniesiona została z tej sali na inną. Nie namysławiając się długo, nie widziany przez nikogo, zdarłem czym prędzej kartkę, podarłem na strzępy i wrzuciłem do kosza, potem spokojnym, wolnym krokiem, długimi korytarzami udałem się pod tę nowo wyznaczoną salę. Tam, oczywiście, poza mną nikt inny nie dotarł. Świadkowie oskarżenia czekali pod salą wyznaczoną pierwotnie (później za niestawiennictwo tego dnia chciano ich ukarać

grzywną), mnie zaś sąd okazał nawet pewnego rodzaju współczucie - tyle już przecież razy przychodziłem na próżno...

Wreszcie, za dziewiątym czy któryś tam razem, sytuacja wydawała się już nie do uratowania. Stawili się wszyscy - świadkowie oskarżenia, czyli milicjanci, oraz świadkowie obrony, z trójką pisarzy włącznie. Ale nawet tym razem nie opuściło mnie szczęście. Wszyscy otrzymali wezwania na godzinę 10 rano. O tej właśnie godzinie miała się rozpocząć moja sprawa i dokładnie w tym czasie wszyscy się zebrali. Sprawa moja była jednakże trzecia wedle wokandy, zaś pierwsza, wyznaczona na dziewiątą, okazywała się być wielce trudna i skomplikowana, wciąż toczyła się i toczyła i nic nie wskazywało, by szybko dobiegła końca. Trójka moich asów zaczęła się niecierpliwić, a nawet irytować. Wilhelmi zwrócił się do mnie: "No wiesz, stawiasz mnie w wyjątkowo trudnej sytuacji, dlaczegoś nie zadzwonił, ja bym to z miejsca załatwił..." - u jakiegoś Dobieszaka czy nie - Dobieszaka, nie pamiętam już nazwiska, w każdym razie chodziło o jakąś bardzo ważną figurę w tamtym czasie - "wystarczyłby jeden telefon". Putrament zaś wręcz szalał. "Nie będę przecież bez końca wysiadywał na korytarzach sądowych!" - - wykrzykiwał - "Mój czas jest drogi! Co oni sobie właściwie myślą!". Ja na te okrzyki specjalnie nie zważałem, chodziłem sobie po korytarzu i kątem oka kontrolowałem sytuację. Az w pewnym momencie podchodzi do mnie jeden z tych milów-swiadków oskarżenia i szalenie nieśmiało mnie pyta (nieśmiałość ta płynęła stąd, że po tym permanentnym nastawieniu się w sądzie ciążyły na nich nagany, upomnienia a nawet wnioski o grzywnę, byli oni już kompletnie skotłowani i to raczej ja dla nich byłem postrachem, a nie oni dla mnie), więc pyta: "Przepraszam pana bardzo, jak pan sądzi, długo jeszcze trzeba będzie czekać na tę naszą sprawę?". To ja na to: "No, sam pan widzi - toczy się dopiero pierwsza sprawa, potem będzie druga, ale spójrzcie panowie, jaka tam jest lista świadków! To potrwa dobrych kilka godzin". Na co on do mnie: "To jak pan sądzi: zdążymy jeszcze przed rozpoczęciem pójść z kolegą na kawę?". "Alez proszę pana - ja na to - Nie tylko na kawę! Zdążycie panowie na cały obiad i to z dużą wódką!". Po tych zapewnieniach, bardzo uradowani, dziarskim krokiem oddalili się. Ledwo poszli, drzwi sali otwierają się i słyszymy, że ta pierwsza sprawa nareszcie się skończyła. W tej sytuacji podchodzę niezwłocznie do Putramenta i ni stąd ni z owąd nawiązując do jego wcześniejszych wyrzekań, które puszczałem niby mimo uszu, mówię: "Panie Jerzy, rzeczywiście to nie jest do pomyślenia, aby pan tyle czasu czekał z powodu ich głupich opóźnień! Pana czas jest bezcenny! No ale w końcu jest pan człowiekiem na świeczniku, więc może by tak pan wszedł do pokoju sędziowskiego i poprosił, aby zmieniono porządek, to znaczy żeby osądzono teraz naszą sprawę, zamiast tę drugą...". Na to Putrament: "Sądzi pan, że oni się zgodzą?". Ja na to: "No, jak pan ich poprosi to nie będą mieli wyjścia"... No i Putrament wdarł się do pokoju sędziowskiego, po czym rozradowany stamtąd wyszedł wołając: "A teraz sprawa Szpotańskiego! Proszę, proszę!" - i wszystkich zaczął zapędzać na salę. Oczywiście wszystkich za wyjątkiem świadków oskarżenia, których zapędzić nie mógł, bo ci w najlepsze konsumowali akurat wtedy swoje piwko, na które byli się udali. I w ten sposób sprawa znów została odroczone, tym razem, jak się okazało, na czas już nieograniczony.

Tymczasem dojrzewała sprawa z "Opera". Otóż, jak już mówiłem, w chwili, gdy "Opera"

nabrała rozgłosu i stała się dosyć popularna, Nina Karsow i Szymon Szechter zaproponowali mi, aby na przyjęciu, które zamierzali wydać, nagrał ją na magnetofon. Chętnie przystałem na tę propozycję i rzeczywiście, "Opera" została w całości nagrana. Było to jakoś w przededniu wakacji, w każdym razie Karsow i Szechter wkrótce potem wyjechali w góry, zabierając oczywiście ze sobą świeże nagranie, by delektować się nim w ciszy górskiej u jakiegoś zaufanego juhasa. Tymczasem byli oni już wtedy dość poważnie obstawieni przez UB. I któregoś pięknego ranka wpadło tam do nich, w to górskie zacisze, ze dwunastu cichych. Karsow i Szechter zostali aresztowani, taśma z "Opera" zaś - zarekwirowana. W tym momencie bezpieka miała już nareszcie komplet: maszynopis znaleziony u mnie na biurku podczas rewizji i teraz taśmę z moim głosem. I prokurator, który miał oskarżać w sprawie Karsow - Szechter powiedział mojemu adwokatowi, że będzie się właśnie ustalało autorstwo "Opory", że obecnie nie będzie już z tym najmniejszej trudności, a wtedy zrobi się natychmiast kolejną sprawę. I rzeczywiście, zmontowali ją wkrótce.

Aresztowany zostałem w święto Trzech Króli 1967 roku, przy czym cichych, którzy po mnie przyszli, nie było trzech, jak można było się spodziewać, lecz chyba z piętnastu. Znowu zrobili rewizję, tyle że tym razem zabrali już całe góry papieru, całą moją korespondencję, wszelkie notatki i zapiski, a nawet niektóre książki. Mnie zaś osadzono w więzieniu na Mokotowie.

Z tą rewizją wiąże się pewna wyjątkowo zabawna historia. Otóż wśród zarekwirowanych mi listów znajdował się jeden - od znanego i wybitnego adwokata warszawskiego, Michała Brojdesa. Był to list zupełnie niewinny, zapraszający mnie, zdaje się, na jakieś przyjęcie, a kończący się słowami: "Z serdecznym geganiem - Michał Brojdes". Na tej właśnie podstawie wezwano Brojdesa w charakterze świadka. No i ten przesłuchujący, jakiś kapitan MO... - nie, to już był prokurator - no więc ten prokurator pyta Brojdesa:

- Panie mecenasie, zna pan niejakiego Szpotańskiego?

- No, oczywiście, że znam - na to Brojdes - i to dobrze.

- A wie pan - ciągnie dalej prokurator - że jest on aresztowany i za co aresztowany?

- Oczywiście - na to Brojdes - Jest to dosyć głośna sprawa w sferach sądowych: aresztowano go pod zarzutem napisania opery "Cisi i gegacze".

- No właśnie - na to prokurator - a więc stwierdza pan, panie mecenasie, że autorem opery pod takim tytułem jest Janusz Szpotański.

Na co Brojdes:

- Panie prokuratorze! Ja niczego takiego ani nie stwierdziłem, ani nie zamierzam stwierdzić.

- No dobrze - na to prokurator - to w takim razie z innej beczki: czy pan wie, panie mecenasie, kto są właściwie ci gegacze?

Brojdes:

- Oczywiście, że wiem. Termin ten powstał i przyjął się w okresie, gdy istniał jeszcze Klub Krzywego Koła: tak mianowicie nazywano zapalonych dyskutantów w tym klubie, którzy domagali się głównie, by szanować ich prawa obywatelskie gwarantowane konstytucyjnie.

- No, to chyba niezupełnie tak - na to prokurator - ale mniejsza z tym. A kto to są, według pana mecenasa, cisi?

- To z kolei, panie prokuratorze - powiada Brojdes - byli tacy panowie, którzy również gorliwie i często przychodzili na zebrania Klubu Krzywego Koła, tyle tylko, że w odróżnieniu od gegaczy w ogóle nie zabierali głosu w dyskusji, natomiast wyjątkowo uważnie słuchali.

- No tak - powiada wtedy prokurator - wie pan, kto to są cisi, wie pan, kto to są gegacze, mało tego, zna pan osobiście Szpotańskiego, i jak to? Nie wie pan, kto napisał operę "Cisi i gegacze"?

- Panie prokuratorze - na to Brojdes - A czy pan wie, kto to są krakowiacy?

- No pewnie, że wiem, ale co to ma do rzeczy?

- A kto to górale - też pan wie? - pyta dalej Brojdes.

- No oczywiście, że wiem, ale raz jeszcze pytam, co to ma wspólnego ze sprawą?

- A czy pan wie, kto napisał operę "Krakowiacy i górale"?

Prokurator szalenie się zdumiał:

- To jest taka opera?

- A jakże - mówi Brojdes - No i widzi pan: wie pan kim są górale, wie pan kto to są krakowiacy, wie pan, że jest taka opera "Krakowiacy i górale" i mimo to nie wie pan, kto ją napisał! A ode mnie pan żąda, żebym wiedział kto napisał "Cichych i gegaczy"!

Chociaż mieli mnie nareszcie w tej ciupie, długo jednak jeszcze nie mogli mi udowodnić autorstwa "Opery", ani tego, że ją rozpowszechniałem. Dopomogło im w tym czy wręcz umożliwiło dopiero kilku świadków, którzy, pytani na tę okoliczność, czy wykonywałem mianowicie "Operę" na przyjęciu w pewnym mieszkaniu, ze szczegółami potwierdzili ten fakt. Nie będę tutaj wymieniał ich nazwisk, zresztą sprawa jest powszechnie znana. Chcę natomiast przypomnieć w tym miejscu inną osobę, która również była obecna na tym przyjęciu i która także później była przesłuchiwana. Chodzi o pewną starszą, bardzo czcigodną damę - księżnę Radziwiłł. Otóż kiedy ją właśnie przesłuchiwało w tej sprawie i zadano to kluczowe pytanie, czy śpiewałem tam jakieś piosenki, to ona odpowiedziała tak:

- Może on i coś tam śpiewał, ale ja nic nie zapamiętałam, bo to nie było o ludziach z towarzystwa.

No i wreszcie odbyła się rozprawa, oczywiście przy drzwiach zamkniętych, ze względu na "pornograficzne obrzydliwości", jakie występują w "Operze", i zostałem w jej wyniku skazany na trzy lata więzienia. Byłem jeszcze sądzony z tzw. małego kodeksu karnego, który za takie rzeczy przewidywał karę od 3 do 15 lat więzienia, tak więc można powiedzieć, że do końca miałem szczęście, bo zostałem przecież możliwie najłagodniej potraktowany.

Podczas odsiadki przeze mnie wyroku miały miejsce pamiętne "wydarzenia marcowe", które znów mnie szalenie zainspirowały, tak że napisałem tam dwa kolejne utwory: "Balladę o Lupaszce" i "Rozmowę w kartoflarni". Co prawda oba te utwory zaraz po napisaniu wpadły, bo mnie ktoś zakapował; na widzeniu z adwokatem odtworzyłem je jednak z głowy, adwokatowi zaś tak się one spodobały, że z miejsca opanował je na pamięć i w ten sposób utorował im drogę w świat. Ostatecznie całych trzech lat nie odsiedziałem, bo z okazji 25-lecia PRL-u czyli tzw. srebrnego wesela, które wypadło w tym czasie, darowano mi na mocy amnestii 5 miesięcy. Tak więc odsiedziałem zaledwie 2 lata i 7 miesięcy. Na wolność wyszedłem jesienią 1969-go.

No to tak mniej więcej zaczęła się moja kariera satyryka.

Zdzisław Najder

ROBOTNICY WIELKOPRZEMYSŁOWI: OSIĄGNIĘCIA I PRZYSZŁOŚĆ

"[...] Odpowiedzialność najliczniejszej grupy społecznej, pracowników przemysłowych, którzy posiadają w swoich rękach największą siłę. Siłę, jak pokazały doświadczenia ostatniego trzydziestolecia, niepokonana". Te słowa, napisane na początku roku 1976 i zamykające Program Polskiego Porozumienia Niepodległościowego, okazały się prorocze. Nastąpiły po nich Radom i Ursus tegoż roku, lato 1980, także maj i sierpień 1988.

Większość ulg gospodarczych i swobód politycznych, które udało się wywalczyć w Polsce od roku 1956, zawdzięczamy zbiorowym akcjom, determinacji i ofiarności załóg wielkich przedsiębiorstw przemysłowych. Cegielski i Zerań, Ursus i Walter, ZPB Marchlewskiego i Obrońców Pokoju, stocznie Lenina, Komuny i Warskiego, Huta Lenina, Mielec i Stalowa Wola, Paławag i Huta Warszawa, kopalnie Wujek, Piast i Manifest Lipcowy – to są niektóre tylko nazwy bitew, czasem krwawych, stoczonych przez polskich robotników o dobro całego narodu.

Działo się tak nie dlatego, że Polacy, pracujący w innych dziedzinach gospodarki, łatwiej znosili niedostatek albo byli mniej spragnieni swobody, mniej zdecydowani i ofiarni. Ale tylko wielotysięczne zakłady miały szanse skutecznego oporu i nacisku.

Zadania wolnościowe wysuwane były we wszystkich warstwach społecznych. Tendencje reformatorskie i liberalizujące pojawiały się nawet wewnątrz aparatu władzy. Jednakże doświadczenie z władzą komunistyczną wykazało, że bez twardego nacisku żadne szersze reformy nie były podejmowane i że jedyną liczącą się bazą polityczno-społeczną zmian byli pracownicy wielkich przedsiębiorstw przemysłowych.

Czy gdyby nie masowe bunt robotnicze lat 1976 i 1980 rządy PRL podejmowałyby próby reform zarządzania gospodarką? Może, ale nie ma na to dowodów. Natomiast reagowanie zapowiedziami manewrów gospodarczych na każdą większą akcję strajkową jest faktem niepodważalnym.

Dzisiaj również główną siłą polityczną, która pcha władzę w stronę reformy, która te reformy na aparacie wymusza – są robotnicy hut i stoczni oraz górnicy.

Jednakże jakiegokolwiek zracjonalizowanie polskiej gospodarki, jakiegokolwiek próba uzdrowienia zasad jej funkcjonowania – musi poddać zasadniczej reformie przede wszystkim wielki i ciężki przemysł stalowy, mechaniczny i wydobywczy.

Nasze rabunkowe górnictwo węglowe, nasze huty, pochłaniające za wiele energii i dające produkty przestarzałe i za ciężkie, nasze stocznie – nieopłacalne, jak wszystkie (poza fińskimi) w Europie, cała anachroniczna struktura przemysłu skoncentrowanego na tym, od czego oddalają się rozwinięte ekonomicznie kraje – to wszystko będzie musiało ulec głębokim przemianom. Co często znaczy likwidacji.

Fakt, że decyzja o zamknięciu Stoczni Gdańskiej została podjęta z powodów bezwstydnie politycznych i doraźnych - nie powinien przesłaniać istoty sprawy. Nasze stocznie w obecnym systemie ich pracy nie mają szans na międzynarodową konkurencyjność, to znaczy: nie mają ekonomicznej racji bytu. Jeszcze mniej takiej racji bytu ma, w ich obecnym kształcie, większość naszych przemysłowych gigantów - zwłaszcza, jeżeli by je zmusić do przestrzegania norm ochrony środowiska naturalnego.

Tak więc w wyniku reform, kiedy rzeczywiście zostaną przeprowadzone - ci, którym reformy będziemy zawdzięczali, zapłacić za nie mogą najboleśniej.

Temu niebezpieczeństwu trzeba zawczasu stawić czoła. I wcale nie tylko z powodów moralnych: aby najbardziej zasłużeni nie zostali ukarani. Przede wszystkim z powodów społeczno-politycznych.

Czynniki wolnościowe w Polsce popełniłyby gigantyczny błąd, dopuszczając do rozproszenia swojej zasadniczej bazy politycznej, jedynej SIŁY społecznej, do której się mogą odwoływać. Jest to sprawa politycznego rozumu.

Nie wolno też dopuścić do zmarnowania doświadczeń organizacyjnych i przeewania tradycji środowiskowych, których symbolem stały się także kościoły - Św. Brygidy, Św. Stanisława, Mistrzejewicki.

Nie należy jednak również w obronie własnych partykularnych interesów przechodzić z pozycji reformatorskich na zachowawcze. Takie odruchy odnotowują niektóre badania opinii publicznej i - co oczywiste - do takiej roli będzie usiłował zepchnąć "S" rząd Rakowskiego, który od dawna zwala niepowodzenia pseudo-reform na opór robotników.

Proponuję powoływanie przez "S" we wszystkich większych zakładach pracy komisji planowania społeczno-gospodarczego. Należy do nich wciągnąć fachowców, także z zarządu zakładów, jeśli się do tego nadają. Komisje powinny badać problematykę unowocześniania i opłacalności danego przedsiębiorstwa. W tych zakładach, którym grozi likwidacja, komisje powinny opracowywać plany takiej restrukturyzacji, która pozwalałaby ocalić jak najwięcej z dotychczasowego dorobku zawodowego, środowiskowego i ideowego, a zarazem osiągnąć rentowność. Należy oczywiście zasięgać rady zewnętrznych ekspertów; pomocą będą z pewnością służyć międzynarodowe centrale związków zawodowych, do których "S" jest afiliowana. Komisje powinny powołać jakies ciało centralne, wymieniające pomysły i zestawiające plany. Wiele diagnoz i projektów nie da się zbadać wycinkowo i na szczeblu lokalnym. I zapewne nie wszystkie zakłady da się ocalić jako całości.

Najważniejsze jest jednak, byśmy przyjęli inicjatywę i nie stali się biernymi ofiarami procesów, które sami rozpoczęliśmy.

Myszę, że w ramach jakże słusznej taktyki stwarzania faktów dokonanych - to jest dzisiaj dla "S" i środowisk niezależnych w Polsce zadanie numer jeden.

DROGA

WOLNOŚĆ I NIEPODLEGŁOŚĆ

PISMO KONFEDERACJI POLSKI NIEPODLEGŁEJ
Redaguje Zespół. Adres: Andrzej Terlecki
90-418 Łódź, Al. Kościuszki 41 m. 30. Tel. 33-71-90